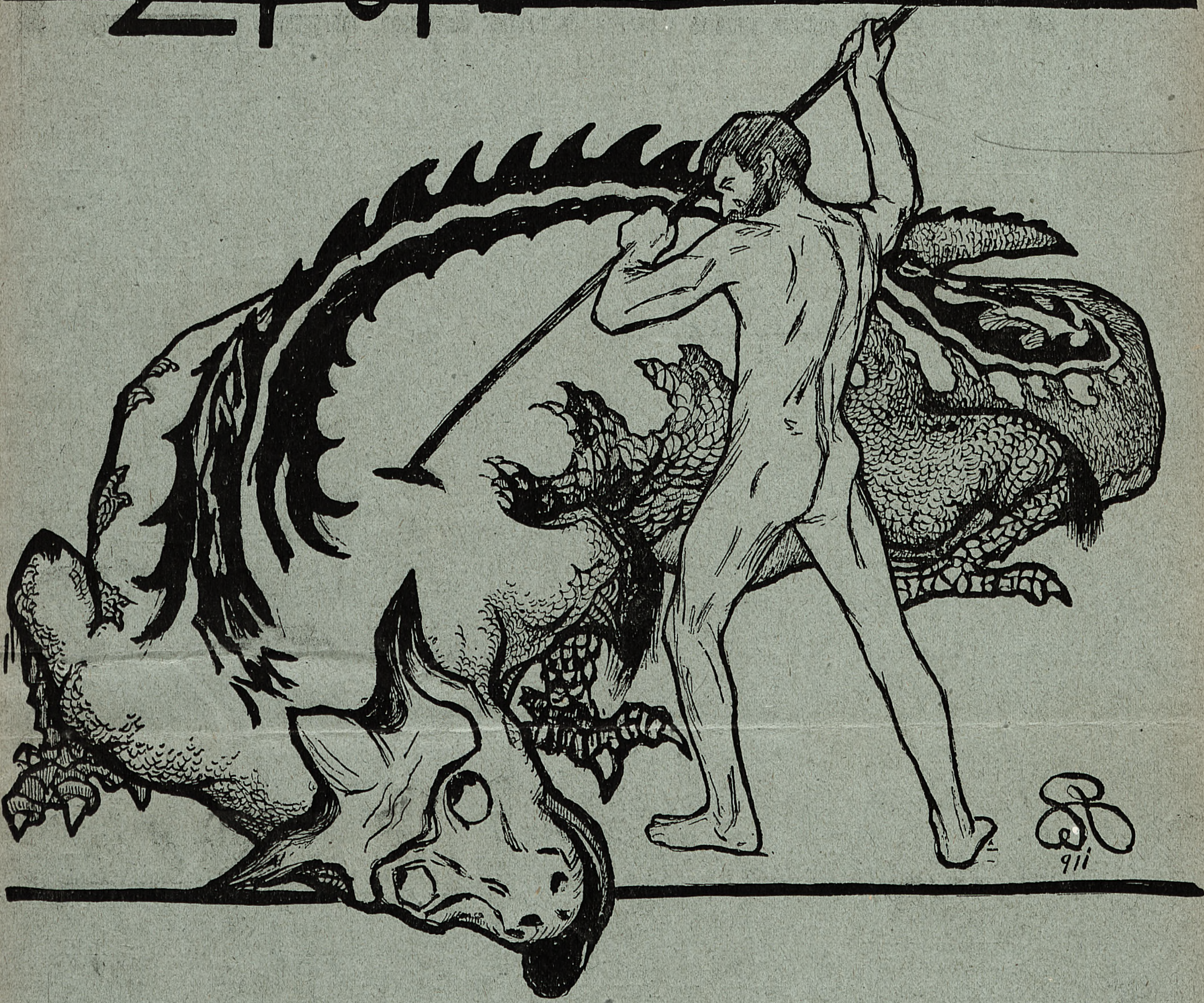
ŻYCIE



ROCZNIK II. ZESZYT XXXIV—XXXVI.
DNIA 2. WRZEŚNIA 1911 R.

Wydawcy:
Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor odpowiedz.: Dr. MARYAN KUKIEL.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA WE LWOWIE,
ULICA DĄBROWSKIEGO L. 2.

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ" („KURJERA LWOWSKIEGO") LWÓW CHORĄŻCZYZNY 31. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA".

Treść niniejszego zeszytu na ostatniej stronie tekstu.

Numer niniejszy zawiera 32 stron druku.

Fabryczny skład szczotek i pendzli

Lwów, ulica Kopernika 11.

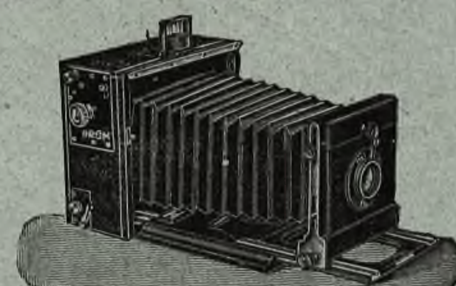
poleca: wszelkie rodzaje szczotek i pendzli do użytku domowego, fabrycznego i przemysłowego, oraz pendzli artystycznych, malarskich i lakierniczych wyłącznie Krajowy wyrób.

Zlecenia z prowincyi odwrotną pocztą.

H. Czerwińska.



o cenach nader przystępnych, wykluczaczających wszelką konkurencyę. Portrety powiększa do naturalnej wielkości z każdej fotografii.



JAN BUJAK

Specyalny skład i warstat
- reparacyjny aparatów -
- - fotograficznych. - -

WE LWOWIE, UL. KOPERNIKA L. 14.

poleca

APARATY, NAJNOWSZE MODELE. — PŁYTY I PAPIERY FOTOGRAFICZNE Z ANGIELSKIEJ FABRYKI WELLINGTON CENY FABRYCZNE. WYWOŁYWANIE KLISZ I KOPIOWANIE.

ZAKŁAD GAZOWY MIEJSKI WE LWOWIE

poleca na sezon budowlany do opału gazem:

Kuchnie, piece kąpielowe, aparaty techniczne i do rozprowadzania gorącej wody, odznaczające się trwałością i zupełnem bezpieczeństwem w użyciu.

Lokal wystawowy i do sprzedaży w pasażu p. Mikolascha.

Zalety opału gazem: Wygoda i łatwość w obsłudze, nadzwyczajna czystość, natychmiastowe wyzyskanie ciepła i taniość.

Urządzenia dla 3 płomieni świetlnych i 2 kuchennych przy użyciu zegarów automatycznych, wykonuje Zakład gazowy własnym kosztem.

Bliższych warunków można zasięgnąć **w biurze Zakładu przy ul. Gazowej 28.**



ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI.

LECHITA.

DOKOŁA POLSKO-RUSKIEJ UGODY.

Ugoda! Od kilku tygodni słowo to nie schodzi z łamów prasy, zarówno polskiej, jak ruskiej a w kołach poliycznych i społecznych obu narodów jest przedmiotem ożywionych dyskusyj, rozważań, kombinacyj. Kto trzeźwo, bez uprzedzeń, z dobrą wolą przysłuchuje się tym rozprawom, kto bacznie śledzi przebieg rozwijającej się w dziennikach polemiki na ten temat — musi nabrać przekonania, że po obu stronach budzi się i rośnie poczucie konieczności rewizyi stosunków polsko-ruskich, poczyna się szukanie drogi, któraby bodaj w przyszłości umożliwiła jakiś *modus vivendi* i położyła kres jątrzącej waśni, jednako szkodliwej dla obu narodów.

Od tego do ugody jeszcze bardzo daleko. Ale już sam fakt, że możemy o tem dyskutować spokojnie, bez podrażnienia, bez ekstazy, uważać należy za objaw pocieszający. Dwa, trzy lata wstecz było to jeszcze niemożliwe.

Co wpłynęło na ten niewątpliwie korzystny zwrot? Czy dokonała się w tym okresie czasu jaka donioślejsza zmiana w układzie stosunków między obu narodami? Czy osłabło po jednej lub drugiej stronie napięcie prądów nacyonalistych, podtrzymujących w interesie własnego bytu wrogie wśród bratnich społeczeństw nastroje?

Nie. Stosunki i odnoszenia się wzajemne obu narodów są takie same, jak były przed trzema laty i dawniej, od czasu bankructwa niefortunnej ugody Badeniowskiej, a nacyonalistyczne chuligaństwo zarówno wśród Polaków, jak wśród Rusinów występuje dziś na jaw bodaj silniej, agresywniej, aniżeli poprzód.

Przyczyn korzystnej zmiany należy szukać gdzieindziej a przedewszystkiem głębiej. Dokonywa się widocznie zwrot w łonie obu społeczeństw, którym już hasła szowinizmu narodowego i bezwzględnej walki na noże poczynają sprawiać obrzydzenie. Budzi się wśród nich pragnienie spokoju i zwrócenia wysiłków ku realnej, pożytecznej pracy twórczej. Otwierają się oczy na szkodliwość i jałowość bezcelowej waśni narodowej. Objawia się pragnienie nowych dróg, nowych haseł, nowego życia.

Wykładnikiem tej pożądanej ewolucyi były do pewnego stopnia czerwcowe wybory. Spokojniejszy, aniżeli po inne lata, mniej sosem nacyonalistycznym zaprawny przebieg akcyi wyborczej

wśród Rusinów, uwieńczonej pogromem naszych domorosłych czarnosecińców; wzrost żywiołów radykalnych i postępowych w obozie polskim przy równoczesnej klęsce nacyonalistycznej konfederacyi: narodowych demokratów, stojałowczyków i Podolaków — oto cecha znamienna tych wyborów a zarazem znak otrzeźwienia społeczności galicyjskiej.

Nic dziwnego przeto, że po tych wyborach kraj po raz pierwszy od wielu, wielu lat odetchnął szerzej, swobodniej, jakby mu wpuszczono prąd świeżego powietrza. Nic dziwnego, że w tej atmosferze padło słowo: „ugoda", że przyjęto je na ogół bez uprzedzeń, bez niechęci, nie obojętnie nawet, ale z pewną dozą życzliwości. A to już — stwierdzamy raz jeszcze — postęp.

* * *

Czy istotnie stoimy w przededniu gody?

Byłoby zbyt wielkim optymizmem odpowiedzieć na to pytanie już w obecnej chwili twierdząco. Takich sporów, jak polsko-ruski, zadawnionych i zaognionych, nie załatwia się „ukazem". Trwałej, szczerej, ugody nie robi się na kolanie.

Jeżeli chodzi o stworzenie dzieła, które ma być podwaliną przyszłości, ma stworzyć podstawy nowego współżycia dwóch narodów — ugoda nie może ograniczyć się jedynie politycznem załatwieniem tych lub owych, najwięcej piekących kwestyj spornych (uniwersytet ruski, ilość ruskich mandatów sejmowych), ale musi objąć cały kompleks spraw narodowych i politycznych, administracyjnych, kulturnych i ekonomicznych. A wszystko przy pełnem zachowaniu całości i jednolitości kraju, gdyż to jest pierwsza i zasadnicza *conditio sine qua non*.

Zadanie ogromne. Aby je rozwiązać, nie wystarczy sama dobra wola (bez której zresztą, i to po obu stronach, szkoda byłoby zachodu) ale potrzeba odpowiednich studyów i przygotowań. I dlatego — naszem zdaniem — ugodę powinny wyprzedzić stosowne konferencye ugodowe, przeprowadzone jawnie, przy drzwiach otwartych, tak, aby cały ogół mógł w nich pośrednio uczestniczyć, ich przebiegiem interesować się i wypowiadać swoje zdanie. Tylko w ten sposób bowiem, da się osiągnąć to, co jest najpewniejszą rękojmią trwałości ewentualnej ugody, iż nie będzie ona rezultatem jakichś zakulisowych machinacyj, czy konwentyklowych układów, ale istotnym wypływem woli społeczeństw, w sprawie tej najżywotniej interesowanych, będzie poniekąd ich własnem dziełem, ich własną, wiążącą umową.

Powstaje pytanie, kto ma prowadzić te rokowania ugodowe?

Oczywista, w pierwszym rzędzie powołane są ku temu reprezentacye parlamentarne obu narodów. Ale tu zaraz wyłaniają się poważne trudności. Jak wiadomo, myśl ugody zrodziła się na terenie parlamentarnym wiedeńskim. Opinia kraju — mówimy w tej chwili o opinii polskiej — powitała ją na ogół życzliwie, lecz z dwoma zasadniczemi zastrzeżeniami:

Po pierwsze — ugoda może dojść do skutku tylko w kraju a nie we Wiedniu przy udziale rządu centralnego;

powtóre — nie może być przeprowadzona bez sankcyi polskiego Koła sejmowego.

Na pierwsze najzupełniejsza zgoda. Bez pośrednictwa rządu wiedeńskiego nietylko się obejdziemy, ale go zgoła nie pragniemy. Kto, jak kto — ale centralizm wiedeński najmniej jest do tej roli powołany. Ten centralizm, którego zasada przewodnia: *divide et impera* zwłaszcza w Galicyi miała zawsze i ma po dziś dzień tak rozległe zastosowanie; którego interesem jest niecenie i podtrzymywanie waśni narodowych; dla którego byłoby klęską spotkanie się oko w oko z reprezentacyą obu narodów Galicyi, zgodną i przez to potężną w obronie interesów całego największego w monarchii kraju koronnego i całej jego ośmiomilionowej ludności — byłby niewątpliwie najgorszym pośrednikiem, dążącym wyłącznie do osiągnięcia własnych celów, do upieczenia własnej pieczeni. Przeto im dalej od Wiednia — tem lepiej dla ugody.

Natomiast drugie zastrzeżenie musi wywołać duże wątpliwości. Zapewne, że bez udziału polskiego Koła sejmowego robić ugody w kraju niepodobna. W normalnych, uporządkowanych stosunkach nie gdzie indziej, jak właśnie w Sejmie krajowym, n. b. przy udziale i współpracy parlamentarnych reprezentacyj obu narodów, a więc Koła polskiego i klubu ukraińskiego, mogłaby i powinna być przeprowadzona z dobrym skutkiem taka akcya ugodowa.

Czy jednak w dzisiejszym stanie rzeczy byłoby to możliwe? Czy galicyjski Sejm kuryalny, Sejm, oparty na zastarzałych przywilejach kastowych i dążący do utrzymania tych przywilejów za każdą cenę, jak najdłużej, Sejm, opierający się wszelkiemi siłami zmodernizowaniu swego zbutwiałego ustroju, nie dopuszczający *per fas et nefas* demokratycznej reformy wyborczej — czy taki Sejm byłby zdolny do podjęcia i przeprowadzenia sprawy o tak olbrzymiej, historycznej doniosłości? A gdyby nawet zdolny, czy miałby po temu dobrą wolę? Czy dopuściłyby w nim do zawarcia rozumnej, sprawiedliwej ugody te żywioły, dla których istnienie waśni narodowej jest podstawą bytu, te frakcye, które już dziś, za pośrednictwem swych organów prasowych czynią wszystko, aby ugodę udaremnić, posuwają się nawet do takiej ohydy, jak odmawianie (w Monitorze szlachty podolskiej) Rusinom prawa samookreślania się narodowego, czynienie z nich podarunku Rosyi i wygrażanie monarchii habsburskiej katastrofalnemi następstwami, gdyby nie zajęła tego samego wobec Ukraińców stanowiska?

Doprowadzenie do trwałej i rzetelnej zgody narodowej w galicyjskim sejmie byłoby tylko wówczas możliwe, gdyby skład tego Sejmu, dzięki nowej ordynacyi wyborczej, opartej na równem i powszechnem głosowaniu, uległ nadzwyczajnej zmianie, innemi słowy, gdyby miejsce dzisiejszego Sejmu stanowego z przewagą szlachecką i konserwatywną, zajął Sejm ludowy, jako istotna emanacya uwarstwowienia społecznego w kraju, prawdziwy przedstawiciel interesów i potrzeb całej ludzkości.

Ale do tego — jak się zdaje — na razie jeszcze dość daleko. Tymczasem sprawa ugody polsko-ruskiej czekać nie może i nie powinna. Któż w tych warunkach ma ją podjąć i przeprowadzić?

Otóż — naszem zdaniem — rola, której Sejm obecny spełnić nie jest w stanie, winna przypaść właśnie konferencyom ugodowym. Jeżeli ugoda ma mieć rzeczywistą a nie utopijną, trwałą a nie przemijającą wartość — musi powstać nie z porozumienia jedynie partyi politycznych, względnie ich przewódców, ale z głębokiego przeświadczenia obu narodów o jej potrzebie, doniosłości i obustronnych korzyściach, musi być wyrazem woli tych narodów, które podają sobie dłonie ku dalszemu współżyciu. A przeto w konferencyach ugodowych, obok przedstawicieli stronnictw politycznych, zgrupowanych w Sejmie i w parlamencie, winni się znaleść ci wszyscy, którzy nadają kierunek życiu obu narodów we wszystkich jego przejawach — więc przedstawiciele nauki i sztuki, szkolnictwa i oświaty publicznej, gospodarstwa rolnego, handlu, przemysłu i rękodzieła. Rozumie się samo przez się, że liczba tych przedstawicieli musiałaby być ograniczona, aby ciało obradujące niebyło zbyt ciężkie — ale z drugiej strony należałoby dbać usilnie o jego wszechstronność, tak, by gromadziło w sobie możliwie największy zasób sił i wartości społecznych obu narodów. Tylko na takiej szerokiej podstawie oparte rokowania tkwiłyby kamieniem w ludzie a tem samem dawałyby rękojmię powodzenia i stałości.

* * *

A teraz najważniejsza i najtrudniejsza kwestya: podstaw na których ma się oprzeć przyszłe ugoda. Kwestya tak żywotna, z której jednak mało kto u nas zdaje sobie należycie sprawę, zwłaszcza, że nie brak czynników, usiłujących ją rozmyślnie zamącić, aby tem trudniej było dojść do porozumienia.

Rzecz znamienna, że z polskich stronnictw politycznych — pominąwszy Polską partyę socyalno-demokratyczną, która tę kwestyę załatwia zasadniczo i tylko w najogólniejszych zarysach, oraz polskie stronnictwo narodowo-demokratyczne, zajmujące, przynajmniej na razie, wobec wszelkich usiłowań ugodowych stanowisko wręcz negatywne — jedno tylko Polskie stronnictwo postępowe ma w tej sprawie jasno sformułowany pogląd i nakreślone drogi postępowania. Znajdujemy je w „wytycznych programu P. S. P.“, uchwalonych jednomyślnie na krajowym zjeździe stronnictwa we Lwowie 9. 11. listopada 1910 r.[1]) Dla oryentacyi przytaczamy tu najważniejsze z owych uchwał.

I tak w zakresie żądań politycznych stawia Polskie stronnictwo postępowe, jako realny postulat:

„Usamowolnienie ludu, czyli wszystkich warstw, które zajmują się pracą fizyczną, czy umysłową i pracę uważają za jedyny tytuł do zasług, praw i obowiązków. W ślad za tem z a p e w n i e n i e s w o b ó d o b y w a t e l s k i c h i r z e c z y w i s t e j r ó w n o ś c i o b y w a t e l s k i e j w s z y s t k i m m i e s z k a ń c o m b e z r ó ż n i c y p ł c i, p o c h o d z e n i a i w y z n a n i a; r ó w n o u p r a w n i e n i e w s z y s t k i c h n a r o d o w o ś c i i w y z n a ń, w p r o w a d z e n i e z u p e ł n e j w o l n o ś c i s ł o w a, z e b r a ń, s t o w a r z y s z e ń, z w i ą z k ó w, w o l n o ś c i n a u k i i w o l n o ś c i s u m i e n i a, niekrępowanej przymusowo urządzeniami poszczególnych wyznań.

Usamodzielnienie kraju w najszerszych granicach przy równoczesnem uobywateleniu ludu przez wprowadzenie do Sejmu, Rad gminnych i powiatowych, bezpośredniego, tajnego, równego i powszechnego prawa wyborczego bez różnicy płci.

K u l t u r a l n a i o ś w i a t o w a a u t o n o m i a u z n a n y c h w k r a j u n a r o d o w o ś c i“.

Analogiczne są żądania P. S. P. w zakresie zadań kulturalnych:

„U c z e s t n i c z e n i e o g ó ł u w o ś w i a c i e, u d o s t ę p n i e n i e w s z y s t k i m m i e s z k a ń c o m k r a j u b e z r ó ż n i c y p ł c i, w i e k u i z a m o ż n o ś c i w s z e l a k i c h s t o p n i n a u c z a n i a; o ile chodzi o społeczeństwo polskie, unarodowienie oświaty szkolnej i pozaszkolnej i wprowadzenie takiego systemu nauki, któryby dawał znajomość potrzeb kraju i uczył służby dla kraju. U t w o r z e n i e k o s z t e m k r a j u w z g l ę d n i e n a r o d ó w w e w s z y s t k i c h g m i n a c h k r a j u n a l e ż y c i e z o r g a n i z o w a n y c h s z k ó ł l u d o w y c h, z a o p a t r z o n y c h w s i ł y n a u c z y c i e l s k i e o d p o w i e d n i o u k w a l i f i k o w a n e i s t o s o w n i e w y n a g r a d z a n e, z z a b e z p i e c z e n i e m p r a w m n i e j s z o ś c i n a r o d o w y c h i ś c i s ł e m w y k o n y w a n i e m p r z y m u s u s z k o l n e g o, zakładanie i wydatniejsze popieranie szkół fachowych: przemysłowych, handlowych, rękodzielniczych, rolniczych. Organizowanie czyteln ludowych, zakładanie domów ludowych i robotniczych i podobnych instytucyj kulturalnych i oświatowych, przeznaczonych dla szerokiego ogółu“.

Pomijamy szereg żądań natury ekonomicznej, których walor jest jednaki dla obu narodowości a przeto mogłyby stanowić wspólny grunt rokowań.

Dalecy jesteśmy od twierdzenia, jakoby wymienione tu postulaty wyczerpywały już cały zakres spraw, które należałoby objąć ugodą. Bądź co bądź jednak dają one szeroką platformę do wdrożenia rokowań a nadewszystko wprowadzają zasadę, która jedynie może te rokowania doprowadzić do pomyślnego rezultatu, mianowicie obok szczerości i jasności, zasadę sprawiedliwości i równouprawnienia narodowego. Przy dobrej z obu stron woli ta droga najpewniej wiedzie do upragnionego celu.

*

Nakoniec jedna jeszcze uwaga.

Ugoda, jeśli ma istotnie dojść do skutku i mieć jakieś znaczenie — nie może być jednostronną, ale musi polegać na w z a j e m n y c h ustępstwach. Nie wolno też — pod grozą zarzutu złej woli i rozmyślnego zniszczenia dzieła w samym zarodku — stawiać sprawy tak, jak to uczynił ukraiński organ narodowo-demokratyczny, *Diło,* iż ugoda nie zamyka wcale okresu bratobójczej walki, która z równą a nawet zdwojoną siłą może wybuchnąć już nazajutrz. Taka ugoda przyniosłaby więcej szkody, aniżeli pożytku i doprawdy lepiej, żeby jej wcale nie było.

Ci, którzy naprawdę, szczerze pragną ugody, rozumieją ją jako początek ery pokoju narodo-

[1]) Przypominamy, że z końcem listopada z. r. „Życie“ ogłosiło uchwały Polskiego stronnictwa postępowego w dosłownem brzmieniu. *Przyp. Red.*

wego dla dobra kraju i obu ten kraj zamieszkujących narodów. Ich wzrok sięga nawet dalej, bo poza ciasne horyzonty dzisiejszej chwiii, zamkniętej w granicach austryackiego kraju koronnego, w promienną przyszłość połączonych braterskim węzłem wolnej Polski i wolnej Ukrainy.

ST. FALKIEWICZ.

TARCZ ACHILLESA.

(FRAGMENT).

Zoczyłem, że słońce już płonie —
że krwawem okiem w zgliszcze się wpatrzyło
w mogiłę druha czarną w mgieł koronie.
Pomnę: na niebie inne się paliło,
hej! nie to dawne, ku któremu-m dłonie
wyciągał tęskne, by mnie pochwyciło
w orszak płomienny na złotym rydwanie,
na gwiazd gonitwę, na wiosenne granie —

Hej! pokrwawione, w ranach całe słońce
patrzyło z nieba na pogrzeb kończony —
Zwołałem w namiot heroldy i gońce
i rozkazałem grać na wszystkie strony,
spędzić okrzykiem te gady syczące:
„Rozdzwońcie w rogi, dzielne Mirmidony,
że witeż Achill rycerze wyzywa
na bój! a walka będzie krwawa, mściwa!

Jakiej trojańskie nie widziały wieże,
jakiej nie grają ludowi pieśniarze —
Dzwońcie, że Achill wyzywa rycerze,
że walkę stoczy o Troi ołtarze!
Gdy ja polegnę — Troję król zabierze,
gdy żyw ostanę — dam Trojanom w darze
gród wolny, szczęsny, niezhańbione progi,
w złotych świątyniach ołtarze i bogi —

A sam popłynę...“ Po trzykroć dzwoniły
i grały rogi: rozbrzmiały ugory,
po trzykroć tarcze w słońcu się zalśniły —
Echo rozśmiane leciało przez bory

i wracał pogłos omdlały, bez siły —
Tak wyzywały Giganty i Zmory
bogów na walkę, a krzyk oszalały
bluźnił i śmiał się i padał na skały.

Ha — ha, rzucona wodzom rękawica!
Wstałem potężny i bogom wyzwanie
rzuciłem z śmiechem. Krwawa błyskawica
rozdarła oczy, w piersiach czułem łkanie,
lecz głos nie zadrżał i nie zbladły lica,
gdym wołał: „Boże w złocistym rydwanie!
na walkę zemną znijdź, o mocny Boże —
niechaj w tej walce świat cały rozgorze!“

Ha — ha, widziałem, że tak samo płonie
stare i głuche słońce — nie słyszało — —
Nikt nie przychodził. Siedziałem na tronie
zbroją okuty — polem echo grało —
ja zasłuchany marzyłem o zgonie
opromienionym snów nadziemską chwałą.
Nikt nie przychodził, by złupić mą zbroję,
by sny pogrzebać — na tarczy sny moje.

I jakaś siła biła z mojej broni
i jakieś blaski z ócz promieniowały,
tęczowa smuga lała się ze skroni
jak aureola bohaterskiej chwały.
Moc gibką czułem w ramionach i w dłoni.
Jako Prometej przykuty do skały
rwałem we wnętrzu spleśniałą obrożę —
w męce spalałem przeznaczenia boże.

W strzępy targałem omamień powrozy,
jadem wściekłości trułem boże sępy:
gady sumienia — krwawe oczy zgrozy,
aż łachman stary stargałem na strzępy,
zdławiłem łkanie rozpłakanej brzozy
i ból, co ranił duszę, jak nóż tępy.
I wstałem boży, w błyskawicach dumny!
Wtedy pragnąłem zstąpić tak do trumny —

Albo jak posąg w rzucie skamieniały
pragnąłem stanąć na kolumny szczycie
i pięknem wyśnić, jawić sen mój cały
i w jedną chwilę zakląć całe życie,
całą mą pełnię — by w liniach zagrały
sny moje wszystkie w wiosennym rozkwicie!
I wstałem dumny jak bóg, posągowy —
stopą przygniotłem przeznaczeń okowy.

A hasło moje przez trojańskie łany
goniło wichrem, rwało czarne chmury.
Ponad obozem zawisł ołowiany
strach, ciszą śmierci spowił w sen ponury
głuche namioty — zamarłe kurhany.
A pogłos leciał na trojańskie mury
i wracał do mnie, jak jęk dziecka we śnie.
Nie przychodzili — śmiałem się boleśnie — —

Przecież wiedzieli, co czarne proroki
głośno wieściły, że po moim zgonie,
mieczem mym zwalą Ilion wysoki,
zhańbią ołtarze — gdy żagiew ma spłonie
i zgaśnie w wieczne zatopiona mroki — — —
Nie przychodzili — Siedziałem na tronie
i spoglądałem na spokojne morze,
na przedwieczorną, przeźroczystą zorzę.

Patrzyłem cichy: fala lazurowa
skrzyła się złotem, kołysała tęczą
jasnych promieni, szeptała mi słowa
wieczornych modłów za tych, co się męczą
jeszcze na ziemi i tych, których chowa
urna spiżowa w pozłacanem wnętrzu —
— — — — — — — — — — — — —

JAN KLECZYŃSKI.

JULEK.

(PORTRET WSPÓŁCZESNY). 10

Wieczorem zasiadł znów do rysowania. Cały dzień przeszedł mu jak w radosnym śnie. Wieczora oczekiwał z niecierpliwością, jako chwili pewnej rozkoszy i łatwej do zaspokojenia dumy. Drugi rysunek już powinien być arcydziełem, po którym wprost zabierze się do malowania, obraz skończy w trzy dni — no, w tydzień — pośle go na wystawę i — —

Zaczął rysunek tak, jak wczoraj — z rozmachem. Starał się zużytkować wczorajsze doświadczenia. Z lekceważącym uśmiechem przechodził przez trudności, które już pokonał w natchnieniu i które teraz pokonywał na trzeźwo. Przychodziły mu do głowy nowe pomysły, które go olśniewały. Ogarnął go zachwyt nad sobą. Pracował tak z półtorej godziny — kiedy nagle spojrzał uważniej — i aż krzyknął ze zdziwienia.

On chyba zupełnie zapomniał rysować.

Niektóre szczegóły były technicznie bardzo efektowne, ale w rysunku panowała patetyczna twardość, nie wiedzieć jaka manieryczna sztuczność, lub nieprawdopodobieństwo rażące.

Tym razem bez namysłu wydarł kartę, ale jej nie zniszczył. Ta lekcya mu się przyda. Zresztą żal mu było kilku pomysłów, które musiały mieć techniczną wartość.

— To nie takie łatwe, jak się zdaje — mruknął ze złością.

Zrozumiał, że nie wydobędzie z siebie nic bez męki, bez wczuwania się w najmniejszy drobiazg, bez tego nowego rysunku, którego się wczoraj zaczął uczyć.

Zamknął zeszyt i wziął się do Wundta. Rozumiał go dzisiaj doskonale — a nawet wydał mu się zajmujący — tak dalece starał się nie myśleć o swojem dziele.

* * *

Przez kilka dni potem nie wziął do ręki ołówka ani pędzli. Nawet przestał chodzić na

zbiorowe malowanie z modela. Spał do południa i dłużej, wyłaził z łóżka zmęczony, leniwy, włóczył się po mieście, zachodził do cukierni po to, żeby bezmyślnie przypatrywać się grającym w bilard, odczytywał dzienniki poranne i wieczorne od deski do deski, ziewał, nudził się, przeglądał ilustracye i tłumił w sobie konieczność rozwiązania jakiejś bardzo ważnej rzeczy, która wisiała nad nim, przygniatała go, jak zbliżająca się śmiertelna choroba.

Najczęściej siadywał na ławce w Alejach Ujazdowskich i przypatrywał się przechodniom. Wmawiał w siebie, że to bardzo zajmujące. Myśli miał leniwe, senne i jakieś przyczajone.

Czasem, zupełnie nagle przychodziły mu takie refleksye.

— Wszystkie teorye sztuki na dyabła się nie zdały.

Albo:

— Te wszystkie moje marzenia o nowym impresyonizmie to zwyczajny kabotynizm. Chciałem koniecznie coś nowego wymyśleć, a to niema żadnego znaczenia w sztuce.

Najczęściej jednak wydobywała mu się myśl jeszcze prostsza i jeszcze bardziej znana.

—Chodzi tylko o to, żeby szczerze jak najsilniej i najprawdziwiej malować to, co się czuje.

I wtedy dodawał ze złością.

— Psiakrew! Bagatela!

Wiedział już, czem to pachnie.

O sobie wogóle starał się nie myśleć. Gdy jednak to okazywało się silniejszem od niego, ogarniał go niesmak. Czuł do siebie coś w rodzaju obawy.

Czemże był ten jego „nowy" impresyonizm?

Marzył kiedyś o tem (wprawdzie miał wtedy lat 16), żeby wyrazić na obrazie taki szalony pęd, żeby widz, wpatrując się w obraz, uczuwał coś z zawrotu głowy rzeczywistego pędu, żeby poprostu widział uciekające w dal przedmioty, niby z okna pociągu, lub żeby ogarniał go zamęt i niosący tumany kurzu wicher, jak na rozbieganym koniu. Chciał stworzyć takiego „Farysa". Przypominał sobie z niesmakiem i urazą do samego siebie, jak on to zamierzał robić. Kłęby kurzu olbrzymim rzutem wznoszące się za nim, stwarzające gwałtowną i straszną, krętą linię, jakby bałwan spieniony na morzu — no to, to jeszcze dobre, ale nic nowego.

Ale jakże on zamierzał zrobić te przedmioty w dal uciekające, coraz wyraźniejsze, im dalsze? No dobrze: na przodzie koń rozszalały... Za nim bezpośrednio tylko bezkształtne pasy, dalej jakieś niewyraźne, jakby wywracające się drzewo, wydłużone w stronę przeciwną linii pędu — cokolwiek za nim również tak dziwacznie wydłużona i pochylona chata, za tem znów trochę ukośnie idąca aleja dalekich topoli, przechylonych sztywnie, żeby widać było, że to nie od wiatru, ale od złudzenia wzroku, a wreszcie pola, wzgórki, uspokojony s t a ł y krajobraz... Nad tem niebo w dalach również spokojne, a im bliżej, tem chmury na błękicie bardziej zagmatwane, jakby w dal uciekające. Obraz byłby olbrzymi... Kto wie jednak? — wszystko to połączone ze sobą stopniowaniem tego pędu, tej wyraźności wyłaniających się ze złudzeń wzroku przedmiotów — za ten olbrzymi tuman, straszny, w niebo bijący... Nad tem ptaki jak szmaty, jak knle. Kto wie? No dobrze. Ale te nogi końskie, migające w tumanie jakby ich było więcej, niż u zwykłego konia, zamiast dotychczasowego szablonu wydłużonego i zawieszonego w powietrzu zwierzęcia — nie, to była myśl nie malarska, to pomysł jakiejś sztuczki technicznej, głupiego, kinematograficznego złudzenia, a przytem rzecz niemożliwa do wykonania. Tak zapewne, że niemożliwa. Sam kiedyś uczuł prawie litość do jakiegoś muzyka, który za genialną uważał myśl stworzenia fortepianu z klawiszami, dającymi ćwierć tony — oprócz całych i pół tonów — bo muzyka pozyskałaby wtedy tysiące razy bogatsze harmonie, gdyż weszłyby w nią nowe tony, obecnie tylko przez szczególniej wrażliwe uszy słyszane — tą drogą niby to miał pójść koniecznie rozwój muzyki. Ostatecznie, może być, że kiedyś muzyka uwzględni te genialne ćwierć tony — niechże nawet napewno tak się stanie — może się to nawet nieraz dzieje bezwiednie, w pożądaniu dysonansów, tych potężnych dysonansów współczesnych — ale czy to od tego zależy subtelność treści muzycznego dzieła? Jeżeli nikt nie stworzył dotychczas ćwierć tonów, to widocznie ich nikt nie potrzebował — jak np. ultrafioletowych promieni na obrazie, których oko dojrzeć nie zdoła. Od tego przecież tylko zależy, czy to komuś będzie potrzebne do wyrażenia swojej duszy — od tego, czy ktoś te dźwięki w sobie usłyszy — od niczego więcej. Ten muzyk, zamiast zapewnień, że słyszy to, czego nikt nie słyszy, niechże coś stworzy... niechże coś wyrazi z całą bezwzględnością — ee — on widocznie nic nie miał do wyrażenia i snuły mu się myśli naiwnie kabotyńskie i nie muzyczne wcale. Pewno nawet zwykłej harmonii nie ogarnął, tak jak on, Julek, nie wyszedł jeszcze przecież po za konwencyonalny rysunek, no, bardzo żywy, nieraz silny, ale nie własny zupełnie — nie taki, co tłómaczy mowę duszy bezpośrednio — nie taki z męki i natchnienia zrodzony — i ujęty w karby uświadomień i opanowań — nie taki, jak u Wyspiańskiego —

Julek nieraz chwytał się na bezwiednem naśladownictwie tego olbrzyma, ale ani się przed tem bronił, ani też nie usiłował iść jego śladami świadomie.

— Kiedy mi to potrzebne, to czemu nie mam tych skrótów rysunkowych używać? — myślał wtedy, ale teraz jednocześnie czuł, że to nie tylko o skróty chodzi — ale o tę śpiewność linii — która czyni, że „święta Salomea" Wyspiańskiego jakby płynie w przestworzu, wznosząc się w modlitwie do nieba — o tę harmonię boską, którą z tych linii tworzył —

Teraz dopiero, nagle to zrozumiał — i po części pojął naturę swoich błędów i zalet w szkicu rysunkowym. Odrazu jednak odepchnął myśl, żeby to „wyspiańskim rysunkiem" wyrazić — chociaż myśl była nęcąca — i zdawałoby się łatwa — w każdym razie łatwiejsza, niż ta męka, która go czekała — męka zgadywania siebie samego, wydzierania sobie wnętrzności —

Zresztą — nie. Jemu tutaj chodziło o jakiś realizm impresyonistyczny — nie o przeczyste harmonie barw i linii jak u Wyspiańskiego, choć i o to również... oczywiście...

Tu miał być innego rodzaju akord boleści — duszny, odurzający obłęd nieszczęścia — —

Te wszystkie myśli majaczyły się Julkowi niewyraźnie pod powłoką apatyi, a on jakby ich nie dostrzegał — jakby pozwalał łaskawie, żeby istniały w nim — a on tymczasem się nudził.

Innym razem znów przypominał sobie swoje „drobniejsze" pomysły przyszłych obrazów. Były to umarłe krainy podbiegunowe z lodowcami i szkieletami jakichś karłowatych drzew — i cisze w pogodny dzień, kiedy omdlałe listki ledwie że odwraca jaśniejszą podszewką leciuchny, lubieżny wiatr letni — i samotna dziewczynka stojąca pod murem, zabłąkana na ogromnej ulicy miasta — taka strwożona, blizka płaczu, z rączką przy buzi i ogromnemi, zdziwionemi oczami — i jakiś romans dwojga silnych, nagich ludzi w skwarze podzwrotnikowym w fantastycznej wegetacyi — zachody i wschody słońca wśród morza mgieł — i tyle, tyle portretów — a nadewszystko jeden: Jadzi wesołej, uśmiechniętej, tylko w oczach cichy smutek, w tych oczach zalotnie przymrużonych, cudnych — w słońcu — i portret własny — tragiczny — bardzo tragiczny...

Wszystko to przewalało mu się po głowie jakby cudze. On patrzał i oceniał z łaskawie ironicznym uśmiechem. To — głupie — tamto niezłe — to trzecie napewno zrobi — wzrusza go poprostu (dziewczynka) — to czwarte jakiś pomysł niewyraźny — i t. d.

I tak schodził mu dzień. A on sam w końcu nie wiedział, czy myślał o czem, czy nie.

Coś się w nim przełamywało. Czegoś się lękał. Na coś czekał.

* * *

Jak mógł, tak odwracał myśl od swego obrazu, a raczej od jego wykonywania. Obraz już widział przed sobą tak wyraźnie z wszelkimi szczegółami, że tylko zacząć — ale kiedy na chwilę chociaż wyobrażał sobie, że się do niego zabiera, bladość go ogarniała, nogi słabły, nie mógł wprost znieść przypuszczenia tej męki i ogarniała go tęskna nuda. Czuł jednocześnie, że musi to zacząć robić i nawet jak przez mgłę wyrzucał sobie lenistwo, ale nie wierzył w nie na seryo. Nerwy napinały się w nim, uciekał od siebie samego, dławił go coraz większy niepokój, wszystko go drażniło.

Wreszcie kiedyś przy obiedzie Jaś, który dostał dwójkę z greckiego, był tak śmiesznie naborduszony, że Julek niby coś notując, zrobił z niego karykaturę.

Powiodło mu się świetnie, gdy pokazał swoje dzieło, wszyscy zabijali się ze śmiechu, nawet Jaś ryczał basem i dyszkantem z zachwytem. To podnieciło Julka. Przyniósł swój zeszyt i zaraz padła ofiarą jego zmysłu spostrzegawczego Wandzia. Potem wieczorem Julek usadowił do pozowania matkę i zamyślił się głęboko. Jej nalana, zatroskana i dobra twarz o szarych oczach nosiła ślady piękności. Było w niej coś niezdarnego, jakby źle zbudowanego — rysy były zebrane naprędce, niedbale zespojone, zatopione w miąższu niegdyś pięknego ciała — wszystko to kiedyś musiało mieć swój wdzięk, nawet urok. Dodajmy łagodność, świeżość, naiwność, ciepłe spojrzenie, serce kochające... Potem dzieci, codzienne drobne troski, nudne, głupie, jednostajne — to one wyrobiły w niej tę nierozgarniętą bojaźń na twarzy, te zmarszczki bezładne...

Chociaż matka ciągle zrywała się, lub z nudów zasypiała na fotelu, w dwie godziny powstał portret tak żywy i charakterystyczny, że sam Julek się cieszył i sława jego talentu ogromnie poszła w górę tego wieczora. Matka na uczczenie tego faktu kupiła ciastek i sama zjadła aż cztery, choć jej doktorzy zabraniali.

* * *

Na drugi dzień Julek nieśmiało poprosił o pozowanie ojca. Pan Bielski ucieszył się bardzo, a że miał dużo czasu i chciał przytem obmyśleć spokojnie jakąś ważną sprawę, więc parę godzin pozowania wcale go nie przerażało. Zresztą był dziwnie zmęczony i chciał odpocząć.

Julek patrzał w twarz ojca i uczuł, że go kocha, jak nikogo na świecie. Nagle, już rysując, zrozumiał, że go przenika do głębi. To szerokie porane czoło świadczyło o strasznych walkach wewnętrznych i twórczych zamyśleniach. Gęsta, siwiejąca czupryna miała w sobie coś z aureoli męczeńskiej — oczy — w tych oczach czarnych, bezdennie smutnych, taiło się coś... nie, oczy zrobi później — nie śmiał w nie patrzeć. Policzki były chorobliwie napęczniałe, ledwie, ledwie zaróżowione, jakąś żółtawą, ceglastą czerwienią. Olbrzymia czarna broda o srebrnych niciach i miękko opuszczone w dół, trochę jaśniejsze wąsy, zasłaniały usta wązkie, od nerwowego skurczu i sumiennie wyraźnego sposobu wykładów w szkołach nieco w jedną stronę przekrzywione i przez to jeszcze bardziej bolesne. Była w tej głowie siła, a zarazem coś już zwyciężonego, zwietrzałego. Siła była w czole, trochę w tych ustach nerwowo zaciskanych, może w oczach... tak może w oczach... Ale te dwie głębokie bruzdy idące koło grubego, kaczego nosa ku końcom warg, ta dobroć, a raczej smutna apatyczna już uległość... te jamy sinawe pod oczami, od których policzki odstawały, jak leżące na twarzy poduszeczki — —

A brwi? zwykle myślał o nich jak o rozkazujących czarnych piorunach na tem wielkiem, chmurnem czole. Teraz dojrzał w nich coś stężałego. Brwi czarne, gęste, były ustawicznie ściągnięte, a pomiędzy niemi dwie poprzeczne zmarszczki zastygły raz na zawsze. Nie było w tem grozy, tylko może wiele okrutnych rozmyślań — a raczej jakaś jedna, wiecznie ta sama, dręcząca myśl — myśl zmora — myśl tak dawna, jak ciężary jego życia, kajdany u rąk, u nóg i myśli — rodzina...

Ale i tego niedość. Brwi były dzisiaj więcej ściągnięte niż zwykle i odrobinę podniesione — może odrobinę tylko — od niedawna — i był w nich nieuchwytny strach — tak — strach przed sobą samym tajony...

Spojrzał ojcu w oczy. Błyszczały matowo, jakby zlodowaciały w beznadziejnym smutku i ukrywały przed oczyma syna coś, próbowały się uśmiechać, mięszały się...

Julek zbladł i rysował dalej — ale te oczy ciągnęły go magnetycznie — —

Spojrzał znowu — i oto bolesne oczy ojcowskie rozszerzyły się widocznie — tak — prze-

rażenie było tam na dnie – rozpacz — cała twarz ojcowska wydała się nagle Julkowi zmienioną nie do poznania, więc rzucił na stół zeszyt i ołówek, zerwał się i zduszonym głosem drżący, wykrztusił:

Co ojcu jest?

Pochylił się ku niemu — ujrzał na twarzy ojca zdziwienie, usłyszał potem sztuczny, łagodny śmiech — i potem znowu stężała ta twarz w powagę.

Pan Bielski wstał. Oczy jego sprzęgły się z oczami syna. Policzki i broda poruszały mu się — prawdopodobnie coś mówił, czy chciał mówić, ale głosu nie wydobył — w oczach zabłysły łzy — i nagle porwał syna w objęcia, przytulił głowę jego do piersi i Julek uczuł jak tę pierś olbrzymią wstrząsały łkania.

Ale zanim zdołał sobie zdać sprawę z tego, co się stało, już był sam. Dosłyszał tylko stuknięcie zamykanych drzwi i jakby potykające się ciężkie kroki ojca, który zmierzał ku przedpokojowi, chwilę zatrzymał się tam i wyszedł.

Julek stał wciąż na tem samem miejscu i nie śmiał podnieść wzroku. Nie wiedział nawet napewno, czy mu się to wszystko zdawało, czy też naprawdę zaszło coś jedynego rozkosznego i rozdzierającego zarazem — łzy ściekały mu po twarzy a on uczuł, że natrafił na jakąś wielką prawdę, na coś straszliwie rzeczywistego, co trzeba będzie ogarnąć i pojąć.

Wstrząsnął go dreszcz zachwytu. Było mu tak lekko, jak wtedy, podczas demonstracyi, gdy nie uciekał z alei, lecz poszedł na więzienie — z nimi i jak wtedy — gdy narysował ten szkic — tak lekko, święcie i boleśnie.

Rzucił się na kolana przed łóżkiem ojca i tak pozostał długo, czując się przygniecionym i zarazem jakby płynąc w bezmiar.

V.
CESIA.

Julek przez kilka dni następnych nie śmiał patrzeć na ojca. Czuł w sobie niezmierną dumę, a chwilami coś jakby z radości narzeczonego. Gdy myślał o tem, co go spotkało, był wzruszony i szczęśliwy, ale uważał za stosowne ciągle mieć minę uroczystą i skupioną, jak w wielkie święto, jak na jakimś nieustającym jubileuszu, kiedy się wygłasza mowy i chodzi w tużurku zapiętym na wszystkie guziki.

Ojciec patrzał na to z dowcipnym uśmiechem i miłością i nie mógł ukryć swojego dobrego humoru, co Julkowi naprowadzało rumieńce na twarz i prawie że go przygnębiało — przynajmniej wmawiał to w siebie z jaknajwiększą skromnością.

Za nic w świecie by nie chciał, żeby ojciec mu pozował drugi raz. Wykończył jego portret na pamięć, posłał w wielkiej tajemnicy obydwa portrety, ojca i matki, do oprawy i pewnego dnia, gdy rodziców nie było w domu, zawiesił je w sypialni, w miejscu honorowem, to jest nad łóżkiem ojca, ponad małym krzyżykiem z kości słoniowej, przeniósłszy dawniej tam umieszczoną kopię Matki Boskiej z Dzieciątkiem Rafaela nad łóżko matki, stojące naprzeciwko.

Rodzice byli uderzająco podobni. Z twarzy pana Leonarda przemawiało to wszystko, co Julek w nim odgadł podczas pozowania. Była to twarz twórcy i męczennika, pełna siły i bolesnego zdławienia, coś jak życie bujne i gwałtowne z zaciętością tłumione w sobie, a jednocześnie spokój i prawie chorobliwa pogoda, granicząca z apatyą. Portret mienił się sprzecznemi uczuciami, żył, niepokoił i przykuwał uwagę.

Matka — to było wcielenie dobroci, wprawdzie niezdarnej, ale tak nieobjętej, że w jej nalanej twarzy duże, blade, szare oczy, zawsze jakby trochę zdziwione, stały się na portrecie nieledwie oczyma świętej. Wieczne zatroskanie nadawało jej pozór starego dziecka, zmysłowe dobrotliwie uśmiechnięte wargi i bogactwo ciała świadczyły o zupełnie już dziecinnem łakomstwie. Jednocześnie było w niej coś gderliwego i rozpieszczonego.

Na widok obydwu zawieszonych portretów matka krzyknęła z radości i rzuciła się Julkowi na szyję. Ale potem przyjrzawszy się portretowi męża, skrzywiła się:

— Podobny, bo podobny, ale taki jakiś stary, taki chory, naborduszony i taki...

Mówiła trochę śpiewnie, głos miała nizki z nutą „entrainement“. O czemkolwiek mówiła, zawsze to był ton jakby miała jeszcze tysiące słów do powiedzenia. Każde jej zdanie kończyło się w innej tonacyi, najczęściej w znacznie wyższej, czasem aż piskliwej, zkąd już nie było powrotu do normalnego tonu. Słynęła z tego, że mówi „z rozpędem“. Teraz jednak głos jej falował, wznosił się i opadał przy wykrzyknikach, dźwięczał radością, podziwem i zawodem naprzemiany.

Julek promieniał... Chodził dumny, jak paw.

* * *

Z pewnem znudzeniem i jakby pod nieuchwytnym przymusem Julek zabrał się potem do swego dzieła. Na przygotowanem płótnie wyrysował kontury, próbował podmalowywać tu i ówdzie obydwie postacie, kazał siostrze pozować mu z zamkniętemi oczami, leżąc nieruchomo przy świetle świecy, zrobił z niej kilka szkiców, ale nic mu się nie udawało. Nie dziwiło go to wcale, bo pracował jakby najbardziej zewnętrznymi odruchami duszy, czując, że myśli usilnie zupełnie o czem innem.

Tłómaczył to sobie tem, że obmyśla wszystko na zimno, że „rozpędza się“ powoli, aby największy impet natchnienia przypadł wtedy, gdy wszystko już będzie przygotowane.

Ale im dłużej pracował, tem większe go ogarniało zdenerwowanie. Aż podrywało go coś, żeby wstać i pójść — gdzie? — starał się tego sobie nie uświadamiać.

Z zaciśniętymi zębami siadał i malował jak maszyna. Czasem po pół godzinie spostrzegał, że tkwi nad jakimś szczegółikiem w szkicu, który bynajmniej nie wymagał odrobienia. Przy tem niespodziewanie nawiedzała go senność i zmęczenie takie, że pot kroplisty osiadał mu na czole.

Postanowił się przezwyciężyć. Do postaci rzucającej kwiaty szkicował w lustrze samego siebie. Starał się nadać sobie ten wymarzony tragiczny ruch półobłąkanego, zbliżającego się do trumny na palcach, ze śmiechem tryumfu, ze łzami w oczach na wykrzywionej bólem twarzy.

Szkice wypadały jednak nędznie. Jakieś suche, sztucznie natężone, nieszczere, twarde w rysunku.

Oszukując siebie, dowodził sobie, że przeszkadzają mu ciekawe oczy rodziny. Istotnie siostra i matka zasypywały go pytaniami „co to będzie?“ Wandzia, zobaczywszy go raz wykrzywiającego się w lustrze i przybierającego dziwaczne pozy, wybuchnęła śmiechem.

— Co ty wyrabiasz? — zawołała, chwytając go za puls.

— Pozuję sobie do obrazu — odpowiedział Julek, nie przerywając pracy. Dziwił się, że śmiech Wandzi nie zrobił na nim najlżejszego wrażenia.

— Taak?

Wandzi to widocznie zaimponowało. Spojrzała na brata z pewną dozą zachwytu. Julek taki miał mir w domu od czasu słynnych portretów, że w rodzinie gotowi byli w każdym jego czynie dojrzeć przejawy geniuszu.

Jemu zaś to nawet stało się obojętne. Teraz gotów już był po prostu z całym spokojem opowiedzieć Wandzi swój obraz, ale powstrzymały go resztki instynktownej ostrożności, żeby jednak swoich eksperymentów artystycznych nie poddawać krytyce podczas tworzenia.

Spokój swój przypisywał „opanowaniu“, nie sądząc, żeby on miał swe źródło w tem właśnie, że dlatego mu nic nie przeszkadzało, dlatego się nie wstydził, malując, ciekawych oczu, że szczerze mówiąc, praca jego nie miała wtedy w sobie nic twórczego. Nie przejmował się tem, co robił i nie potrzebował ukrywać swoich wzruszeń... To „przygotowania...“

* * *

Julek uprawiał już od paru tygodni cichy, coraz śmielszy flirt...

Zaczęło się to od czasu, gdy ostatecznie jego rozpacz po Jadzi skrystalizowała się w pojęciu obrazu śmierci. W godzinach nudy nieraz jego wzrok przesuwał się po jędrnych kształtach Cesi. Na razie pożądanie, jakie szło za jego wzrokiem, wydało mu się wstrętnem, potem zwolna dojrzał w tem tylko czysto moralną brzydotę. Doznawał patrząc na Cesię gorących ukłuć w piersi — i wyrzutów sumienia.

Cesia spała, jak wiemy, zaraz za ścianą pokoiku Julka. Nieraz wchodząc wieczorami tylnem wejściem, od schodów, do siebie, widział ją bez stanika, z odkrytą szyją i pełnemi ramionami, których nie zdążyła zakryć w porę, albo zastawał ją w łóżku, dokąd szybko wskakiwała, otworzywszy drzwi. Przy owym przelocie do łóżka zdarzało się, że błysnęła przed chciwym wzrokiem Julka zgrabna łydka — i więcej.

Julek zaczął stale chodzić tylnemi schodami.

Lubił też, kiedy prała. Wtedy ręce miała obnażone, a były piękne. Miała kolor ciała różowawy, który na gładkiej i silnej szyi przechodził w subtelną kremowość.

Cesia była niewysoka, dość pełna i ładna. Świeża jej cera, dość prosty, zgrabny nosek, delikatny uśmiech niedużych, blado-różowych warg, z poza których błyszczały zdrowe zęby, oczy szaro-niebieskie o złotawych rzęsach, jasno-blond włosy, starannie przygładzone, chłopsko-dziewczęce zakłopotanie w razie śmielszych zdań nadawało jej urok zdrowego kłosa dojrzałej pszenicy. O chłopskiem jej pochodzeniu świadczyła wyraźnie dość ciężka linia podbródka.

Robota paliła się jej w ręku. Nietyle sprytna, ile inteligentna nie dawała sobie dwa razy powtarzać kapryśnych rozkazów pani Bielskiej, a na jej gderania miała tak proste i jasne, zawsze trochę filuterne odpowiedzi, że w końcu nie było powodu do gderania, ot, zaledwie do krzywień się i przelotnych grymasów. W kuchni było czysto, wesoło. Nigdy nie widziano na Cesi brudnego stanika. Nawet ścierki, wieczny przedmiot rozpaczy pani domu za innych służących, nie ginęły i nie przypominały cuchnących, błotnistych szmat, wyciągniętych ze śmietnika.

Kiedy słała Julkowi łóżko, zaczynał z nią rozmowę.

— Jak ty się nazywasz na nazwisko?

— Cesia — to pan nie wie? śmiała się dziewczyna.

— Ale nazwisko.

— Ja tam nie mam nijakiego przezwiska.

— Ja to wiem doskonale, ale jak się twoi rodzice nazywają?

— Pan się tak pyta, jak rewirowy, albo wójt.

— Nie, bo widzisz chciałbym wiedzieć, po co mam zaglądać do twojego paszportu. No jakże?

— Co się mają nazywać. Jak im zapisano, tak się nazywają.

— A daleko mieszkają?

— Stąd nie widać.

Cesia była zachwycona tą rozmową. Śmiała się ustawicznie, a miała śmiech cichy, raczej wewnętrzny, pokrywający zakłopotanie. Czasem tylko roześmiała się głośniej, szczerze. I mówiła dość cicho, prędko, była spokojna i żywa zarazem, jak iskra.

Julek dowiedział się w końcu, że nazywa się Cecylia Marczak, że jej ojciec ma pięć morgów gruntu koło Płocka i że jest bardzo dobry człowiek, nawet nie pijący.

Rozmowy były coraz częstsze i zatrącały o różne sprawy życia, z których najważniejszą było naturalnie to, czy Cesia ma narzeczonego i czy chce wyjść za mąż.

— Mnie tam nie pilno — odpowiadała stale.

— A jakże tak ciągle panienką żyć.

— Jakby się trafił ładny chłopak, to czemu nie.

— Co? pocałować?

— Można i pocałować.

— A czy to nie grzech?

— Jeżeli nie post, to nie.

— Jakto, a w post nie wolno?

— Nie — śmiała się Cesia i uciekała do siebie, bo Julek już chwytał ją za rękę.

— Cesiu, czy ja jestem ładny?

— Trochę pan ładniejszy od dyabła.

— Ale nie wiele?

— Ja się na tem nie znam.

— A któż będzie się znał?

— Czy ja wiem? Może stróż, może ksiądz probosz.

— Ale czy ja ci się podobam?

— Po co mi się pan ma podobać.

— A tak sobie. Albo ci się podobam, albo nie.

— Pewno, że tak. Albo tak, albo nie.

— A kiedy Julek już znowu ją chwytał, wyrwała mu się wołając:

— Post! Post!

Julek trochę drżał po każdej takiej rozmowie, a wyobraźnia jego pracowała, gdy się kładł spać, słysząc za ścianą równy oddech śpiącej.

— Cesiu, jakże ci się spało?

— Dobrze, tylko weselnika nie miałam.

— Więc chciałabyś mieć weselnika?

— O jej! — O, już go prowadzą.

I Cesia pokazała nowy siennik, do którego zaraz zaczęła, śmiejąc się, pchać świeżą słomę.

Julek nie wiedział, że weselnik to miał być siennik i zanim się zoryentował, sądził, że przymówka była doprawdy aż nadto wyraźna.

Dziwił się tej śmiałości, ale trudno mu było przypuścić, że Cesi sprawy rozwiązłe — nie pierwszyzna. Przeciwnie, było w niej coś słonecznego, była prosta i szczera, czerwieniła się z lekka, gdy Julek zanadto się do niej przymilał, brała rozmowy z nim na wesoło, nie było w niej źdźbła cynizmu. Rozmyślając o tem, czuł do siebie coraz większy niesmak. Przypominały mu się ohydne opowiadania kolegów gimnazyalnych, jak to się dziewczyny „nabiera na miłość" i myśl, żeby on mógł stać się do nich podobny, była mu nie do zniesienia. Więc starał się wtedy okazywać Cesi zupełną obojętność, udawał zamyślenie, albo wielki pośpiech, kiedy koło niej przechodził, i nigdy, nigdy by mu wyraz „kocham" nie przecisnął się przez gardło... Ale cóż — potem zawsze się zdarzało, że jakoś nikogo nie było w domu, albo spotkali się we drzwiach z Cesią za blizko — i Julek wprawdzie nie prawił czułości, ale przysuwał się do niej, obejmował, a ona nigdy się nie broniła brutalnie, jak to zazwyczaj robią takie, które zaznały już nieraz uścisku. Usuwała się tylko z początku ze śmiechem, potem dawała się całować, blednąc i uciekając szybko. Potem raz — na gorące prośby Julka, który coraz bardziej tracił przy niej przytomność — pocałowała go sama.

Nigdy nie robiła min tragicznych, ani też nie wyrażała tych najprostszych obaw, które stanowią zazwyczaj jedyny istotny moralny hamulec wielu dziewcząt — nie tylko będących w służbie u „państwa" — nigdy nie dała mu do zrozumienia, żeby się miała bać zostać matką. Julek nie bardzo się nad tem zastanawiał, widział, że ona idzie ku niemu dziwnie łatwo — i walcząc ze sobą coraz mniej, zbliżał się do niej z mgłą na oczach i na mózgu i nawet przestał pojmować, czemu ostatecznie do niego w nocy nie przychodzi... Bo do tego chciał doprowadzić. Pewny był, że nie będzie „uwodzicielem", jeżeli to ona pierwsza do niego przyjdzie, nie on do niej. I codziennie jej mówił — przyjdź — codziennie pytał czy dzisiaj już nareszcie przyjdzie, całował ją jak oszalały — ale... nie chciał być uwodzicielem — nie mówił „kocham"... Zatracił wszelką logikę myśląc o swojem postępowaniu, wydawało mu się to wszystko zupełnie w porządku. „Ja pragnę, ona też — oboje płoniemy, nad czem się tu zastanawiać — na co jeszcze czekać? — Cóż w tem złego?" Nie. Nawet o tem tak wyraźnie nie myślał. Czekał poprostu w gorączce, twórczość oddalała się od niego coraz bardziej, słuchał w sobie tylko przyczajonych głosów tryumfu. Nie zastanawiał się nawet nad tem, skąd w nim ten tryumf — cóż? — służąca! — to byłoby nawet śmieszne...

Ale Cesia nie przychodziła.

Ze swoim cichym, dźwięcznym śmiechem odpowiadała zawsze:

— Post!

(C. d. n.)



MIECZYSŁAW RETTINGER.

STUDYUM O REYMONCIE.

II.

WAMPIR.

Reymont do dziś jest wyobrazicielem zasady, że piękno jest samo sobie celem, gdyż cel ten zlewa się z innymi. (Inaczej mówiąc, w rzeczach swoich ukazał, że posiada wybitną samowiedzę w użyciu sił swego talentu). W pogoni za użytkowemi formami odczucia książek „Wampira" przychwycić można na gorącym uczynku opowiadania o sprawach feljetonowych, więc dla ogółu dostatecznych. Dlatego krytyka z reguły nad stanowisko ogółu wyższa — już pocieszać się zaczęła niezwykłem formalnem wykończeniem utworu, (Z. Dębicki w „Kuryerze Warszawskim"). Nie powinno się jednak zapominać, że „Wampir" został napisany przez Wł. Reymonta, tego samego, który pisał „Chłopów", „Na krawędzi" i że przyrost idei, związany z pewnem nowem zjawiskiem lub terminem (miss Daisy) jest częstokroć tylko tą resztą, która zostaje pomiędzy terminem w języku obcym a jego przekładem na język nasz. Pamiętajmy! Miss Daisy, Bafomet — będą straszni swą egzotycznością tylko wtedy, jeśli p. Zenonowi będziemy wierzyć na słowo bez

względu na to, co w około niego za sprawą Reymonta się działo. Na powieściach „egzotycznych“, pozornie wyrzuconych poza nawias koliska, w którem można przeżycia ludzi napisanych konfrontować, przekonać się można, że nadszedł czas wyczuwań, które, jeśli mają się utrzymać na powierzchni, muszą być pogłębione przez generalizacyę i rozpowszechnienie. Zenon jest kaznodzieją dla czytelników „Wampira“. Nie brak mu nawet cytatów z poza granicy dobra i zła. „Wampir“ przesiąkł umiejętnością Reymonta traktowania samoistnie i naczelnie, („Ziemia obiecana“, „Na krawędzi“), nowych dróg wydatkowania i zużytkowania sił życiowych, choćby niedawno, choćby dopiero wczoraj powstały. Głos Reymonta zawsze tam nabrzmiewał i rósł, gdzie chodziło o przeciwstawienie postaci odczuciom, których nie powinna znać, czynom, przed którymi powinna uciec i czczości, od której powinna się obedrzeć. Zenon jest taką postacią. Klęska jego ma wyraźnie zarysowane gienetyczne źródła. Nie wszystko, co przeżywa człowiek, jest wartościowe. Samemu sobie kradnie się czucia żywe i prawdziwe, zmieniając je w bezduch odruchów i mierzwę zmęczenia. Dzięki temu wielu idących naprzód, cofa się ze zniechęceniem wstecz. Zdarza się, że życie — pojęcie wiele mówiące — popycha ludzi w kierunku zdobycia treści dla słów, złożenia maski, przywdziania własnej szaty. Popchnięcie jest aktem połowicznym. Połowiczność wywołuje reakcyę, jak każda narzutowa forma życia. Nie wystarcza ludziom na dalszą metę. Przypadkowość u Reymonta zwycięża swobodę. Człowiek nie wnosi w życie swego udziału, nie czuje się swobodnym, trwa wiecznie u początku drogi. Orłowska, Witowscy, dziesiątki postaci innych, tylko tak dadzą się zinterpretować. Zanglizowany Zenon potwierdza regułę. Reymont ułożony z góry mechanizm odpowiednio rozwinął. Nie tylko w „Wampirze“, we wszystkich głównych jego książkach niema kart słabszych i lepszych — wszystkie są jednakowe. Nagromadza i piętrzy szczegóły, zbiera przyczynki, by w morzu powierzchowności wyświetlić to, co uważa za istotę swych ludzi. Mają oni wszyscy ten wspólny rys, który jest manierą Reymonta, że na pierwszej karcie książki ich namiętność, pasya, interes lub idea odrazu zostają narzucone, sformułowane a priori. Dyskusyi nigdy nie przeprowadza. W charakterystyce swych braków i zalet ludzie R. są zawsze odrazu gotowi. Opisany i definiowany wielokrotnie temperament Reymonta jest swoistym sposobem kompozycyi, który pewne rzeczy widzi tylko z właściwego oddalenia i patrząc na wszystko, dostrzega tylko części (nie można powiedzieć, jakoby Reymont nie zaznaczył sprawy Zenona wobec narzeczonej i byłej kochanki. Jak charakterystycznie mało starał się o potrzebne rozszerzenie tych ustępów). Ludzie Reymonta czy z „Wampira“, czy z jakiejkolwiek innej powieści ulegają nadmiarowi wrażeń nie własnych, lecz nabytych; ich własne zasoby uczuciowe wyczerpują się bardzo rzadko. Dlatego tak swobodnie mógł Reymont dotykać najważniejszych spraw współczesnego człowieka. Gdzieś pod powłoką wykańczanych kompozycyi ukrywał zapas sił, który go zawsze ratował. Należy umyślnie i celowo splatać ostatnie dzieło Reymonta z poprzedniemi, by wypośrodkować ocenę jego teozoficznych zamiarów. Ludzka najpierwsza głębia: bunt przeciw narzuconemu życiu, mogła zrodzić „Wampira“. W tej współczesnej książce niema fałszywych ról i fałszywych sytuacyi. „Wampir“ nie dopuszcza do rozdzielenia uczuć. Zenon, ofiara jego, wszystko chłonie, a z siebie nic nie wytwarza. Wzrastająca potęga, burząca potęga obcej woli — była jedynym wyrazem rzeczy przez Zenona przeżywanych. Gdziekolwiek był podczas samobiczowań i czarnych mszy — wymuszał na sobie bierny instynkt podziwu dla Daisy, istoty, myśli, czy instynktu niezrozumiałego. Mądrością Zenona była bezbronność nawet wobec widocznego, proszącego się o przezwyciężenie zła. W chwilach stępienia wrażliwości na wiecznie wlokący się za nim czar „Wampira“ — uśmiechał się lub gniewał. Zdaje mi się, że śmiech i gniew są najpierwotniejszą formą zapomnienia. Przenikliwym tutaj okazał się Reymont.

Jak w „Ziemi obiecanej“, „Chłopach“ — tak samo i w „Wampirze“ sięgnął Reymont w pewien określony okręg stosunków, skąd mógł wziąć typy i kostyumy. Jednostkę obcą, weszłą niespodzianie, środowisko przetrawia i stapia. Historyę oporu obrony opowiada swym wytrawnym sposobem Reymont. Książka nie przynosi niespodzianek, gdyż sposób Reymonta nie przedstawia możliwości rozwoju. Jest dojrzały i pełny. Na tem koniec, a to nie jest wszystko. Bo w „Wampirze“ napotykamy niewątpliwie pewne cenne aparens, lecz sama skondensowana treść jest powtórzeniem gadki o nieszczęśliwem przeznaczeniu ludzi, którzy chcieli wypełnić przestrzeń pomiędzy tęsknotą, a jej spełnieniem. Cóż dziwnego, że „Wampir“ jest pochodem tryumfalnym na rzecz twierdzących, że przestrzeń ta jest nie do przebycia?

Przedmioty kultu nie istnieją nigdy niezależnie. Istnieją w związku z czcicielami swoimi i liturgiką swojej chwały. Liturgiką „Wampira“ jest szatan Bafomet, pantera Bagh, olbrzymie zbiorowisko ludzi, Londyn. W takiem otoczeniu dopiero koncentruje się zapał Zenona dla Wampira. Ujrzał on nagle przepyszną mleczną drogę wśród płaszczyzny życia ludzkiego. Przez miłość dla niej chciał się stać jej podobnym. Chciał się spokrewnić rzeczom wielkim.

Reymont utrzymuje, że nie udało mu się spełnić zamiaru.

DR. WŁODZIMIERZ ZAGÓRSKI.

DOWÓD ONTOLOGICZNY.

II. Obietnicę bezpośredniego poza wiarą przeprowadzonego doświadczenia Boga daje ta wiedza, która obiecuje w razie wytrwałego, z miłością połączonego dążenia do Boga rozkosze niewidziane i niesłyszane t. j. religia. Głosi ona, że najwyższe poznanie, bo poznanie Boga twarzą w twarz, jest możliwe chwilowo tu na ziemi, przez spełnienie tajemniczych obrzędów, które wyzwalają duszę tęskniącą, przywracając jej wzrok, którym ogląda swoje Boskie istnienie. Takimi obrzędami są np. w katolickim kościele Sakramenty. Drogą więc czynu poznawczego, wskazanego przez rytuał religijny dokonuje się owa „prima et maxima contemplatio“, jak mówił Bernard z Clairvaux, która była, jest i będzie jedynem niewątpliwem udowodnieniem t. zw. dowodu religijno-ontologicznego dla dusz

wątpiących a przeczuwających i tęskniących do Boga. Rozwiązanie zaś problemu religijnego przez poznanie Boga będzie, skoro Bóg jest potencyą zjawisk, zarazem rozwiązaniem problemu kategoryalnego.

Ostrze krytyki Kantowskiej było zwrócone tylko przeciw religijno-ontologicznemu dowodowi, jakkolwiek sam krytyk był przekonany, że zwalcza dowód filozoficzno-ontologiczny.

Kant ulegając naciskowi metafizycznego przeświadczenia o istnieniu Rzeczy samej w sobie, przyczyny twórczej kompleksu świata zjawiskowego statuuje z absolutną pewnością „Ding an sich“.

Rozważanie nad dowodem filozoficzno-ontologicznym czyli nad problematycznością czy też niewątpliwością poznania metafizycznego nazwałbym rozważaniem nad racyą poznawczą ontologii czyli metafizyki wogóle.

Argument filozoficzno-ontologiczny bowiem to nic innego, jak krótka zawartość treściowa całej ontologii t. j. wszystkich jej twierdzeń, które się w nim mieszczą i z którego drogą analityczną świadomość metafizyczna z niego wyprowadza. Odmawiając racyi poznawczej dowodowi filozoficzno-ontologicznemu, musimy temsamem odmówić wartości poznawczej całej metafizyce, której fundamentem jest on właśnie.

W odpowiedzi na kwestyę wartości rozumowania metafizycznego wyprzedza nas t. zw. historya filozofii. Poucza ona nas bowiem, że wszyscy rzetelni a konsekwentni myśliciele, którzy z wątpienia zupełnego wychodzą, wcale nie poddają w powątpiewanie istnienia Rzeczy samej w sobie, którą krótko i węzłowato przyjmują za granitowy fundament swego systemu. Tak czyni zarówno Kartezyusz jak i Kant. Wszyscy całego świata i wszystkich czasów myśliciele stawiają na czele swego filozofowania, oczyszczonego przez alembik zwątpienia, zasadę umieszczoną na początku głównego dzieła myśliciela żydowskiego: „Per causam sui intelligo id, cuius essentia involvit existentiam; sive id, cuius natura non potest concipi nisi existens“ — i wszyscy też, jak on, twierdzenia metafizyczne „ordine geometrico“, jakkolwiek nie posługując się zewnętrzną formą matematyczną, z tej zasady wywodzą. Dalej zasługuje na uwagę sposób, w jaki pojęcie Rzeczy samej w sobie wystąpiło w filozofii Kanta.

Uwydatnia to się w interesującem zestawieniu odpowiednich miejsc z pism Kanta w książce O. Liebmana, jakkolwiek dość zresztą naiwnej p. t. „Kant u. die Epigonen“ (Stuttgart 1865) str. 28 i 29. W „Kritik d. r. Vern“. (2 wyd. str. 49.) mówi Kant o substracie zjawisk, o którym wyraża się: „(es) mag den Erscheinungen zu Grunde liegen“. Dalej (str. 286 i 290) mówi o tymże substracie: es sei problematisch, ja es sei etwas, von dem wir weder sagen können, es sei möglich, noch es sei unmöglich“. Określając więc tutaj Rzecz samą w sobie jako problem, mówi jednakże dalej (str. 358) że „Ding an sich liegt der Erscheinung zum Grunde“ a potem (str. 538) „muss zum Grunde liegen“ W „Prolegom.“ (str. 163) całkiem zdecydowanie już mówi, że byłaby to „eine Ungereimheit, wenn wir die Dinge an sich nicht einräumen wollen“.

Skąd się więc bierze u Kanta ta ostatecznie apodyktyczna pewność, która tak rychło po kilku tylko słowach nad sprawą istnienia Rzeczy samej w sobie przechodzi do porządku dziennego? Jestto właśnie ta sama dogmatyczna w tej kwestyi zwięzłość, która cechuje wszystkich filozofów.

Gdy bowiem idzie o pojęcie Rzeczy samej w sobie, to wątpienie co do jej istnienia jest zawsze i wszędzie faktycznie wykluczone.

Skoro bowiem wątpić, znaczy twierdzić obok możebności istnienia także możebność nieistnienia tego, w co wątpię, to w takim razie istnienie Rzeczy samej w sobie jako przyczyny twórczej świata zjawisk jest wolne od wszelkiej wątpliwości.

Zwracając uwagę metafizyczną na ten moment, kiedy nowa rzeczywistość rodzi się w mojej świadomości, uświadamiam sobie, że nowe zjawisko jest urzeczywistnianiem się jakiegoś pędu do czynu t. j. zrealizowania owego zjawiska, który to pęd jest jakby niewidomą iskrą jaźni czystej, rozniecającą się w moją świadomość. Uświadamiam sobie zarazem, że transcedentne tego pędu twórczego istnienie po za mojem doświadczeniem metafizycznem nie podlega wątpliwości. Mogę bowiem przypuszczać, że moje przeświadczenie o istnieniu Ojca Niebieskiego jest konieczną złudą, skoro mogę przypuścić nieistnienie Ojca Niebieskiego wbrew memu przekonaniu o Jego istnieniu, ale absolutnie nie mogę przypuścić, by Pra-przyczyna jako Rzecz sama w sobie nie istniała, bo nie mogę pomyśleć, by z niebytu moja świadomość powstała. Skoro zaś nie mogę przypuścić, by Rzecz sama w sobie nie istniała, nie wątpię w jej istnienie. Istnienie więc Rzeczy samej w sobie jest niewątpliwe.

Tak więc dowód filozoficzno-ontologiczny, wnioskując z naszego niewątpliwego przeświadczenia metafizycznego co do istnienia Rzeczy samej w sobie o jej istnieniu, poza naszem przeświadczeniem jest rzeczywistym dowodem do swego argumentowania uprawnionym.

Dlatego prawda metafizyczna jest jedyną rzeczywistą prawdą, skoro przeświadczenie metafizyczne odnosi się do niewątpliwej rzeczywistości a metafizyczny ogląd intellektualny, którego przedmiot jest rzeczywistością poza oglądową, jest jedynym rzeczywistym oglądem intellektualnym, gdzie zupełnie nieproblematyczne myślenie jest identyczne z bytem, bo jest nietylko myśleniem ale i bytem pozamyślowym ,równając mu się nieproblematycznie jako jedyna, rzeczywista, substancyalna idea adekwatywna.

A zatem idea Absolutu różni się od innych idei substancyalnych nietylko tem, że jest ideą najdoskonalszej substancyi, bo Prabytu twórczego, ale ponadto i to przedewszystkiem tem, że ta najdoskonalsza substancya, zawarta w idei Absolutu, posiada tę doskonałość, jakiej nie mają inne substancye, zawarte w innych substancyalnych ideach, a to doskonałość niewątpliwego istnienia.

To właśnie jest zasadniczą myślą owego utożsamienia przez t. zw. twórcę dowodu filozoficzno-ontologicznego, św. Anzelma z Canterbury dokonanego, zidentyfikowania tego „quo maius cogitari non potest“ czyli idei substancyi najdoskonalszej, zwanej przez św. Anzelma Bogiem, z tem, „quod non possit cogitari non esse“ czyli z niewątpliwem istnieniem. Stąd całkiem zrozumiały jest wniosek z tegoż utożsamienia wyprowadzony: „Quare si id, quo maius nequit cogitari, potest cogitari non esse, id ipsum quo maius cogitari nequit, non est id, quo maius cogitari nequit, quod convenire non potest“. (Proslog. 2, 3 sq.)

Boć to, jak mówi późniejszy ontologik Descartes, byłby absurd gwałcący zasadę tożsamości taksamo, jak w tym wypadku, gdyby ktoś utrzymywał, że w trójkącie suma 3 kątów nie równa się 2 R. (Princip. philos. I, 14).

Najkonsekwentniejszy zaś dyalektyk ontologiczny Hegel zwięźle a jasno mówi: „Das, was dieses unmittelbare Wissen (t. j. poznanie metafizyczne) weiss, ist, dass das Unendliche, Ewige, Gott, das in unserer Vorstellung ist, auch ist, — dass im Bewusstsein mit dieser Vorstellung unmittelbar und unzertrennlich die Gewissheit ihres Seins verbunden ist“. (Enzycl. §. 64). „Diese Einheit des Begriffs und des Seins ist es, die den Be-

griff Gottes ausmacht" (Tamże § 51). Na tę zaś konieczność filozoficzno-ontologicznego wnioskowania z niewątpliwości co do istnienia połączonej z ideą najwyższej substancyi o jej istnieniu, zwraca jędrnie uwagę Lotze: „W ä r e das Grösste nicht, so wäre das G r ö s s t e nicht, und es ist ja unmöglich, dass das Grösste von allem Denkbaren n i c h t wäre". (Mikrok. III², 557.)

Trzeba jednak dla dobrego zrozumienia naszej jedynej, rzeczywistej identyczności myślenia i bytu dobrze o tem pamiętać, że adekwatywna identyczność myślenia i bytu w oględzie intellektualnym Absolutu i substancyalności wogóle nie polega tylko na pozytywnym oględzie intellektualnym, substancyalnym. Wyłącznie na pozytywnym oględzie intellektualnym opiera się tylko identyczność myślenia i bytu kategoryalnego, zawarta rzeczywiście w pozytywnym oględzie intellektualnym, kategoryalnym.

Natomiast pozytywny ogląd intellektualny substancyalny nie jest adekwatywną identycznością myślenia i bytu, gdyż każda idea substancyalna ma swoje granice, w których się nie mieści nieograniczoność substancyi tak, że ograniczona idea substancyalna nie dorównuje nieograniczonemu bytowi substancyalnemu.

Tak jak idee nieograniczonej sprawiedliwości i miłosierdzia Bożego, zawarte w idei Ojca Niebieskiego, są w istocie tylko ideami wielkiej, nadludzkiej, ale nie nieograniczonej sprawiedliwości i miłosierdzia Bożego — tak, jak idea świadomości samej w sobie, zawarta w idei Myśli czystej, nie jest ideą identyczną z świadomością samą w sobie, ale tylko ideą świadomości skażonej formą empiryczną — tak też idea Rzeczy samej w sobie nie jest identyczną z Rzeczą samą w sobie.

Zatem prawdziwa identyczność myślenia substancyalnego z bytem substancyalnym jako rzetelna świadomość metafizyczna polega na negacyi pozytywnego, substancyalnego poglądu intellektualnego, za uświadomieniem bankructwa tego myślenia substancyalnego przez usunięcie jego ograniczeń czyli na pojęciu niepojętości bytu przez myślenie. Tak więc pojmując, że mądrość i miłosierdzie Boże jest niepojęte w akcie pojmowania religijnego, że świadomość sama w sobie jest nieuświadomiona w idei świadomości samej w sobie, pojmuję miłosierdzie i sprawiedliwość Bożą, pojmuję Myśl czystą tak, że moje pojęcie naprawdę jest adekwatycznie identyczne z bytem pojmowanym.

Taksamo rzetelny metafizyk wie dobrze o tem, że wszelkie poznanie ma piętno czasowo-przestrzenne, że uświadamiając sobie byt absolutny w akcie oględu myślowego, nie uświadamiamy go sobie dlatego właśnie, że go sobie uświadamiamy t. j. dlatego, że, ponieważ każdy akt świadomości jest wizyą czasowo-przestrzenną, to przez uświadomienie sobie Absolutu, z konieczności natury naszej świadomości, zamkniętej w okowach czasu i przestrzeni, czynimy z Pra-istnienia pozaprzestrzennego istnienie w przestrzeni, podobne pod względem przestrzenności przestrzennym doczesnym istnieniom, a z Pratwórczości pozaczasowej działanie w czasie, podobne w swej czasowości powstającym w czasie działaniom.

Zatem uświadamiając sobie to, co poza świadomością jest, przez ten akt świadomości właśnie nie jesteśmy zdolni do pojęcia czystego tego, co poza świadomością jest, tego „nihil creativum", która jest nie istniejąc a działa nie działając, bo niema ograniczeń działania i istnienia, nakładanych mu przez świadomość, a istnienie i działanie jego jest ponad pojęciem.

Pojmując niepojętość Boga oglądamy Boga intellektualnie, pojmując niepojętość Absolutu oglądamy Absolut intellektualnie.

Lwów, w czerwcu 1911 r.

K. STEFAŃSKI.

KRÓLESTWO POLSKIE A ROSYA W OSTATNIEM PIĘCIOLECIU.

IV.

Przejrzymy teraz w krótkości przejawy konkretnej polityki Królestwa względem Rosyi w ostatniem pięcioleciu. — Polityka „trzeźwa", autonomiczna prowadzoną była w Dumie przez nasze przedstawicielstwo, polityka „marzeń niepodległościowych" w rewolucyjnych partyach tajnych, ściślej mówiąc, w ich mniejszości, zgrupowanej na prawicy P. P. S. i w Narodowym Związku Robotniczym, tworzącym lewicę Demokracyi Narodowej. Przed szczegółową jednak krytyką poszczególnych przejawów naszego życia politycznego, muszę rozprawić się króciutko z kilkoma mylnymi zupełnie sądami o ubiegłem pięcioleciu.

A więc utarło się zdanie, że nasze organizacye rewolucyjne były zbyt słabe.

Jest to fałsz kompletny. Od czasów organizacyi narodowej podczas rozkwitu powstania 1863 r. nie mieliśmy tak silnie rozwiniętej konspiracyi jak w latach 1906—1910. Okrzyczana organizacya czerwonych przed powstaniem styczniowem nigdy nie mogła nawet marzyć o czemś podobnem co do siły. Nie mam pod ręką ścisłych danych co do Narodowego Związku Robotniczego — na ogół obliczają go na 30 tysięcy. Jest to cyfra dość prawdopodobna. O sprężystości zaś organizacyi świadczy fakt, straszny co prawda, ohydny, niemniej jednakże znamienny. Oto wiosną 1907 roku, gdy „Związek" został użyty, jako sui generis siła zbrojna stronnictwa porządku narodowego w walce z „anarchią socyalistyczną", w ciągu jednego tygodnia w Łodzi i okolicach związkowcy zamordowali 60 socyali-

stów[1]). Uznając całą ohydę walk bratobójczych, przyznać jednak należy, że organizacya, która coś podobnego uczyniła, musiała być sprężystą i karną. Niezwykłego fanatyzmu i wiary w przywódców trzeba było obok oczywiście straszliwie nizkiej kultury etycznej, aby mordować braci i towarzyszy niedoli, dając materyał do frazeologii w rodzaju cynicznego wykrzyknika „Gazety Warszawskiej": „Ha, trudno, w Łodzi niema miejsca na sielankę!" lub też idyotycznej chełpliwości Dmowskiego na zebraniu przedwyborczem: „Byliśmy zmuszeni przelewać krew bratnią". Organizacya więc Z. N. R. była i spójną i karną i bitną.

Dokładniejsze dane mamy co do P. P. S., którym nie mamy racyi nie wierzyć, znając ówczesny nastrój ogółu robotniczego.

Sprawozdanie mianowicie C. K. R. na zjazd partyjny (IX) w 1906 roku, podaje ilość kół zorganizowanych w całym kraju na 2.387 z 40.000 członków, co stanowiło 15 prc. ogółu robotników Królestwa. Samych kolejarzy zorganizowanych liczyła partya 3.180, chłopów 4.750, płacących 3.080 rb. rocznie podatku partyjnego. Ogólna suma podatku partyjnego wyniosła 34.841 rb. rocznie. Za „bibułę" wpływało 4.000 blizko rubli miesięcznie. 24 szkoły agitatorów i 636 kół wykładowych „uświadamiało" ściślej zorganizowanych towarzyszy. 17 pism, z pośród których 3 tygodniki, szerzyło zasady socyalizmu wśród ogółu, nie licząc 560.000 egzemplarzy proklamacyi przeróżnego rodzaju. W roku 1906 P. P. S. zdołała pokierować strejkiem rolnym w 3.000 blizko majątkach ziemskich, a w ośrodkach przemysłowych zwoływała do 6.000 wieców miesięcznie.

Socyaldemokracya w swoich związkach zawodowych ściśle partyjnych zjednoczyła 13.320 robotników[2]).

Cyfry powyższe świadczą, że partye rewolucyjne w ubiegłem pięcioleciu były potęgą, która odpowiednio użyta i nie demoralizowana niesłychaną nieudolnością swoich przywódców, mogłaby wielu rzeczy dokazać.

Warunki polityczne i społeczne stworzyły olbrzymi zastęp ludzi gotowych do czynu. Ludzie ci wypełnili szeregi partyi rewolucyjnych, uosabiających dawniej najżywszy protest i najenergiczniejszy czyn polityczny. Potężne gromady skupiały się koło rewolucyonistów, czekając z ich ust haseł z ich grona wodzów.

A wodzowie? Ci jedynie przed sądem historyi kiedyś będą odpowiedzialni za zmarnowanie zupełne tej siły, jaka w ich rękach była.

Drugim utartym fałszem jest twierdzenie, jakoby stronnictwom, partyom i politykom brak było poparcia ogółu.

Bezmyślny frazes o polskiej anarchiczności i niezgodzie przykrywa ogrom błędów tych partyi lub polityków.

Rzadko w dziejach znaleźć można taką jednomyślność i karność mas, jaką okazały masy polskie w ubiegłem pięcioleciu. Strejki powszechne wiosną 1905 r. manifestacye patryotyczne w końcu tegoż roku, wybory do Dumy 1906 i 1907 wykazywały niezwykłą intuicyjną karność narodu, mającego za sobą wiekową kulturę polityczną. Faktem wprost niebywałym w dziejach jest wysłanie do Dumy przez ogół wyborców przy pierwszych zaraz wyborach, po 75 latach zupełnego zaniku życia politycznego przedstawicieli jednego stronnictwa. A strejku powszechnego i manifestacyi pod względem porządku i powagi pozazdrościćiby nam mogły najbardziej politycznie wyrobione kraje. Ogół więc na głos partyi politycznych odpowiadał i występował wspaniale, a że umiał i pracować, dowodem „Macierz Szkolna", stworzenie szkoły polskiej, związki zawodowe robotnicze, wśród niesłychanych represyi organizujące kilkadziesiąt tysięcy proletaryatu, ruch współdzielczy i t. d. To już nie był odruch czynu wśród zapału dokonany, to już praca żelazna.

I znów kiedyś historya surowy sąd wygłosi nad tymi, co te wysiłki ogółu na swój młyn partyjny kierowali, co rozbijali jedność klasową robotnika, a narodową ogółu, co na usługi reakcyi obracali zapał i energię mas, co wreszcie te wysiłki, w iście piekielnych warunkach dokonywane, marnowali haniebnie. Rząd, dławiący ruch odrodzenia w Królestwie, miał robotę ułatwioną niesłychanie przez nasze własne błędy.

Wkońcu jeszcze jedno. Ogół nasz nie był bezkrytycznym. Idąc masą całą, gdy politycy-wodzowie wołali do c z y n u, ogół ten umiejętnie wybierał między hasłami rzuconemi.

Oto przykład:

Charakterystyczną chwilą pod tym względem były ostatnie dni kwietnia i 1. maja 1906 r. Kraj cały wybierał po raz pierwszy posłów do Dumy. Socyaliści, uparcie stojąc na gruncie abstrakcyjnej rewolucyi, wszelkiemi siłami starali się przeprowadzić bojkot wyborców. Jedna tylko P. P. S. według własnego sprawozdania wydała 600.000 odezw — uciekano się do idyotycznego w tych warunkach terroru z bombami (Płock) i brauningami. I mimo to 64 prc. uprawnionych wyborców stanęło przy urnach.

Warszawa wybierała 27. kwietnia i mimo zajadłej agitacyi masowo wybrała kandydatów N. D., w trzy dni później — 1. maja — ta sama Warszawa mimo zaciekłą agitacyę kuryerkową, mimo wysiłki całej machiny N. D. dobrowolnie świętowała 1. maja. Jak to tłómaczyć?

Postępując tak, ogół nie był bynajmniej ani 27. kwietnia endeckim, ani 1. maja socyalistycznym. W obu wypadkach był on jedynie patryotycznym i rewolucyjnym, wspierając tych, co w jego mniewaniu najwyraźniejszymi przedstawicielami tych kierunków byli.

I tak było zawsze. Masy nie rozumowały, nie były wręcz w stanie rozumować, one intuicyjnie wyczuwały potrzeby chwili i stawały do czynu. Wykorzystać chwil i mas nie umiano. Wodzowie i sztandary okazali się do niczego. Były to wszystko wydmuchane wielkości kółkowe z lat przedrewolucyjnych, a masy zbyt mało przygotowane były, aby z pomiędzy siebie wydać organizacye i wodzów.

Jednostki jak Moracewicz, organizator strejku kolejowego w Królestwie, Ostachiewicz pyszny trybun wiecowy, Adamowicz, twórca ideologii Polski ludowej, złamane zostały szybko, a niewielu, jak twórca kooperatywy w Królestwie, Stanisław Wojciechowski, zdołało przetrwać burzę i fundamenta swej pracy mocno w chwiejącym się i bagnistym gruncie utrwalić.

Po tych ogólnych uwagach przechodzę do szczegółów.

V.

T. zw. polityka autonomiczna w Królestwie różne przechodziła koleje. Narodziła się ona w obozie socyalistycznym, gdzie już w 1893 r. autonomia Królestwa figuruje w programie Socyaldemokracyi Królestwa Polskiego i Litwy, jako przeciwwaga „socyal-patryotycznej" niepodległościowości P. P. S. W roku 1899 taż sama autonomia Królestwa weszła do programu minimalnego „Polskiej Partyi Socyalistycznej Proletaryat".

W początkach wreszcie wojny japońskiej zjawia się prąd autonomiczny, uważający jednak autonomię

[1]) Dla porównania przytoczymy, że bojówka P. P. S. od marca 1907 r. do lipca 1908 r. zabiła 66 szpiclów i prowokatorów.

[2]) „Związek zawodowy" Nr. 8 z r. 1908 przytoczony w pracy p. Józ. Mostowicza „Ruch związkowy w Królestwie polskiem".

wyłącznie za etap walki o niepodległość i w P. P. S. W tymże czasie, po raz pierwszy hasła autonomii Królestwa zaczyna propagować wśród sfer pozasocyalistycznych inteligencka „Kuźnica“ warszawska.

W każdym bądź razie owo uświadomienie autonomiczne musiało być niesłychanie jeszcze słabe, jeżeli na zjeździe opozycyjnych i rewolucyjnych partyi Rosyi w Paryżu, gdzie byli przedstawiciele P. P. S. i Demokracyi Narodowej, o autonomii Królestwa nie mówiono wcale.

Później dopiero owo hasło autonomii poruszyło szersze masy inteligencyi i zaczęła się istna powódź programów autonomicznych, opracowanych szczegółowo, przewidujących wszelakie subtelności wzajemnego stosunku Rosyi i Królestwa.

Programy te jednak bardzo mało wspólnego miały z życiem rzeczywistem i pozostały w ciszy zapomnienia prawdopodobnie na wieki.

Polityka autonomiczna poważniej zaczęła być traktowana dopiero wtedy, gdy w Dumie petersburskiej zasiadło kilkudziesięciu przedstawicieli Królestwa.

Program autonomii Królestwa był wówczas na ustach wszystkich bez wyjątku niemal polityków Królestwa i popularny wśród mas szerokich. Świetne zwycięstwo kadetów przy wyborach do I. Dumy dawało pozory blizkiego urzeczywistnienia najśmielszych marzeń liberalnych.

W maju 1906 r. po raz pierwszy od lat 75 kraj nasz miał możność legalnie przemówić i jednocześnie po raz pierwszy został on zrównany w zupełności z Rosyą w swych prawach politycznych, jednako z nią wybierając posłów do pierwszego parlamentu wszechrosyjskiego.

Na swych przedstawicieli ogół ludności wybrał członków stronnictwa, stworzonego przez Ligę Narodową, organizacyę, której celem miało być przygotowanie nowych walk o niepodległość. Z urny wyborczej wyszli wyłącznie demokraci narodowi.

I tu zaczynają się niebywałe w dziejach naszych niespodzianki polityczne.

Przy otwarciu Dumy posłowie Królestwa wraz z ogółem przedstawicieli Rosyi podpisali następującą deklaracyę: „My, niżej podpisani zobowiązujemy się przed Bogiem Wszechmocnym wypełniać powierzone nam obowiązki członków Dumy państwowej według naszego rozumu i sił, zachowując wierność dla J. C. M. samodzierżcy Wszechrosyi i mając na widoku jedynie dobro i korzyść Rosyi“.

Był to pierwszy głos przedstawicieli Królestwa, skierowany do rządu rosyjskiego, a zarazem pierwsza w dziejach porozbiorowych taka haniebna kapitulacya „bez zastrzeżeń“.

Bezwzględne zaprzysiężenie pracy nad dobrem Rosyi i jej korzyściami, bez wzmianki nawet o własnym narodzie, o jego przeszłości i prawach, było nowością w polskiej polityce, zarówno parlamentarnej jak i krajowej.

Koła polskie w Berlinie i Wiedniu przystąpiły do pełnienia swych obowiązków dopiero po demonstracyi protestu przeciw zaborowi ziem polskich przez Prusy i Austryę. Ogłoszony przez współczesnych zdrajcą ojczyzny Wielopolski, zawierając kompromis z Rosyą, bezwzględnie stał na gruncie prawnopaństwowej odrębności Królestwa i za normę stosunku tego do Rosyi brał Statut Organiczny 1832 r., formalnie zgodny z konstytucyą 1815 roku, acz faktycznie będący zamachem na nią. Piętnowani niejednokrotnie przez żywioły patryotyczne i rewolucyjne stańczycy swoje osławione „Przy Tobie Najjaśniejszy Panie stoimy i stać chcemy“ wypowiedzieli po otrzymaniu szerokiej autonomii Galicyi. Poprzedzili je zresztą napiętnowaniem centralizmu, oraz zaznaczeniem swego przekonania, iż całość Austryi „będzie zabezpieczona, jej pomyślność i potęga będą się wzmagać w miarę, jak przez samorządne ukonstytuowanie krajów koronnych rozwijać się będą i wzmagać na dziejowych i narodowych podstawach wszystkie ich moralne i materyalne siły“.

Tembardziej więc dziwacznem i potępienia godnem jest obojętne przyjęcie „objedinitielnej“ formuły przysięgi poselskiej przez demokratów narodowych wobec konstytucyi rosyjskiej, nacechowanej, jak wykazaliśmy wyżej, krańcowym nacyonalizmem rosyjskim.

Co gorsza zaś, ową łączność Królestwa z Rosyą nasi posłowie podkreślali z naciskiem i to często w najbardziej niefortunny sposób. Nie będę tu rozpatrywał szczegółowo nad wyraz błędnej polityki endeckiego Koła w Petersburgu, tych jego umizgów do październikowców, szopek słowiańskich, uznania konieczności państwowych aż do uczestnictwa w komisyi chełmskiej. Życie dostatecznie wykazało całą nicość i nieudolność krańcowątego wszystkiego.

Powrócę do polityki autonomicznej. Z poprzednich rozdziałów widać, że zarówno historyczne dane, jak i współczesne warunki życia naszego wręcz uniemożliwiają traktowanie autonomii Królestwa jako celu konkretnej polityki polskiej. Zawsze musi być ona wynikiem bądź utopii przekształcenia caratu rosyjskiego na jakieś imperium w rodzaju Wielkiej Brytanii Chamberlaina, bądź też staje się ona wnioskiem apolitycznych przesłanek, pokutujących w umysłowości polskiej od czasów ery pozytywistów.

Owa kapitulacya obficie podlana sosem ignorancyi politycznej i niewyrobienia była złem również i autonomicznej polityki Koła Polskiego.

Po raz pierwszy sprawa autonomii Królestwa stanęła na porządku dziennym w Dumie podczas dyskusyi nad adresem, podanym w odpowiedzi na pierwszą mowę tronową w maju 1906 r. Wówczas to posłowie polscy złożyli pewnego rodzaju exposé swojej polityki i w niem postawili postulat: „niezbędność autonomii Królestwa Polskiego, jako żądanie całej ludności naszego kraju“. Jak już mómówiliśmy, większość rosyjskiej opinii politycznej wystąpiła przeciwko temu postulatowi.

Motywem tego stanowiska „przyjaciół moskali“ było niefortunne rzeczywiście umotywowanie autonomii. Wbrew mianowicie elementarnym zasadom prawa państwowego opierano ją wówczas na międzynarodowości kwestyi polskiej oraz postanowieniach traktatu wiedeńskiego.

Z jednej więc strony, politycy nasi, stawiając żądania autonomii Królestwa w państwie rosyjskiem, eo ipso uznawali państwowość rosyjską; z drugiej zaś strony powoływali się na akty międzynarodowe, gdzie wyraźnie państwowość polska była zastrzeżona.

W pierwszej Dumie, użytej przez partye rosyjskie przedewszystkiem za trybunę do głoszenia haseł programowych, posłowie nie powracali więcej do autonomii.

Zjawia się ona wreszcie na porządku dziennym prac parlamentarnych w rok niemal później w kwietniu 1907 r., jako formalny wniosek autonomii Królestwa, wraz z objaśniającym go memoryałem.

Tu Koło Polskie wpadło w drugą ostateczność: porzuca grunt międzynarodowości sprawy polskiej zupełnie i za punkt wyjścia bierze uznanie państwowości rosyjskiej „bez zastrzeżeń“. „K r ó l e s t w o P o l s k i e, t w o r z ą c n i e p o d z i e l n ą c z ę ś ć p a ń s t w a r o s y j s k i e g o — powiada zasadniczy art. 2 projektu — w s p r a w a c h s w o i c h w e w n ę t r z n y c h rządzone jest przez odrębne instytucye, na zasadzie odrębnego ustawodawstwa“.

Jak wykazał niedoceniony w tych czasach polityk p. Wł. Studnicki, śledzący krok za krokiem niefortunną politykę posłów naszych w Dumach wszystkich trzech formacyi, tego rodzaju kapitulacya była

wręcz zbyteczną. Art. 4 Ustaw Zasadniczych Państwa: „Przez Dom Cesarski złączone są nierozdzielnie trony Królestwa Polskiego i W. Ks. Finlandzkiego“ — dawał wspaniałe i bynajmniej nie rewolucyjne wyjście dla wszelkich programów autonomicznych bez uciekania się do frazesów kapitulacyjnych.

Zdaniem p. Studnickiego, zupełnie słusznem, należało ten artykuł uzupełnić tylko wyrazami: „i konstytucyą autonomiczną“.

Odsyłając też czytelnika ciekawego szczegółów polityki naszej w Petersburgu do artykułów p. St., zamieszczonych w całym szeregu wydanych przezeń w Warszawie pism peryodycznych[1]) zajadle gnębiąbionych przez władze, na razie zakończę swoją krytykę autonomicznych postulatów petersburskiego Koła Polskiego. Podstawy tego programu, raczej haseł autonomii Królestwa, kapitulacya polskiej polityki narodowej z państwowości własnej, jest logicznym wręcz wynikiem prądów, nurtujących w społeczeństwie Królestwa.

Prądy te, t. zw. oznaki „wytrzeźwienia“, najniewłaściwiej w świecie wyprowadzone z polityki Wielopolskiego, całą siłą opanowały umysłowość pokoleń ostatnich i znalazły grunt podatny w wykoszlawionych przez szkołę, brak życia publicznego i wreszcie osłabionej zdolności asymilacyjnej napływowych żywiołów. Gdy przyszła chwila polityki konkretnej, rzecz prosta, żywioły przodujące społeczeństwu na nic innego, jak na wszelakiego rodzaju programy ugodowe zdobyć się nie mogły. Niepowodzenie tych programów jest zarazem oznaką bankructwa i samej polityki ugodowej w Królestwie, polityki, jak widzieliśmy, bynajmniej nie realniejszej niż marzenia niepodległościowe, do których teraz przejść musimy.

Obaczmyż, jaką była polityka niepodległościowców naszych w ostatniem pięcioleciu.

(C. d. n.)

[1]) Naród a Państwo. Sprawa Polska. Liberum Veto.

M. Leliwa.

Rola posłów postępowych w Kole Polskiem.

Zjawienie się w parlamencie wiedeńskim trzech pierwszych posłów postępowych zbiegło się z ważnem przesileniem w życiu Koła Polskiego. Oto po upływie lat czterech, w ciągu których wypierano ich stopniowo od steru życia politycznego, powrócili do znaczenia i siły konserwatyści, mocni nietylko poparciem rządu i sympatyą w Burgu, ale także talentami, wyrobieniem politycznem i długotrwałą, nieprzerwaną tradycyą. Krótkotrwałe hetmaństwo narodowej demokracyi, pierwszej grupy, która się pokusiła o wydarcie władzy z rąk stańczyków, skończyło się rozczarowaniem społeczeństwa i całkowitem fiaskiem.

Dowiedli wszechpolacy, że gorączkowe ich dążenie do władzy nie stoi w żadnym stosunku z ogromną ich chwiejnością zasad, pustką programu, skłonnością do rezygnacyi z rzucanych haseł, brakiem rzetelnego wyrobienia politycznego. Wnieśli do steru Koła kilka zdolnych i ambitnych jednostek, pozbawionych jednak wszelkiej stałej oryentacyi politycznej, dopasowujących ją doraźnie do wymogów doraźnego interesu partyi, w rezultacie wnieśli do Koła niebywałą rozterkę wewnętrzną, dochodzącą chwilami do burd karczemnych, do łżenia się i spotwarzania wobec obcych. Wnieśli godło demokracyi, ale pozostało ono szyldem tylko; żadna treść realna nie ukrywała się poza frazesami, coraz oględniej wypowiadanymi przez posłów narodowo-demokratycznych. Demokratycznemi były jedynie ich metody organizacyjne i agitacyjne, graniczyły one nawet bardzo blisko z demagogią. Ale polityka rzadko tylko liczyła się z interesem szerokich mas społeczeństwa, a w pewnym momencie — przed siedmiu miesiącami — poszła w kierunku wyraźnie sprzecznym z dobrem pospolitem. Wnieśli godło narodowe, godło polityki wszechpolskiej, co oznaczać ma ogólno-polską; tego charakteru ogólno-polskiego nie zaznaczyli — poza jednym tylko gołosłownym protestem w sprawie wywłaszczenia — w żadnem wystąpieniu, w żadnym czynie, a skompromitowanie się przez poparcie, neoslawizmowi udzielone, oraz brak wszelkich tendencyi do podniesienia sprawy polskiej w jej znaczeniu państwowem, złożyły się na zupełną nieobecność moralną Polaków w krytyczne dni wczesną wiosną r. 1909. Nikłe więc i pozorne przeważnie były te plusy, które wnieśli wszechpolacy do steru polityki polskiej we Wiedniu i nie były one zdolne zrównoważyć minusów: niewątpliwego obniżenia się wpływów Koła Polskiego wskutek gorszego kierownictwa, lichej dyplomacyi, skandalicznych stosunków wewnętrznych. Te były istotne głębsze przyczyny zwycięskiego powrotu stańczyków do steru w Kole Polskiem.

Ze stańczykami wróciła w całej otwartości swej i konsekwencyi tradycyjna polityka „dynastyczna i mocarstwowa“, a rezolucya Koła Polskiego miała za cel główny manifestacyjne stwierdzenie tego powrotu. Zamierzano pierwotnie z rezolucyi tej zrobić manifestacyę lojalności względem rządu bezwarunkowej. Kilku uczciwych patryotów — posłowie postępowi w pierwszym rzędzie — zdołało nadać rezolucyi charakter nieco odmienny; zdołano nawet przemycić wyraźne iunctim między poparciem rządu, a koniecznościami krajowemi, budową kanałów w pierwszym rzędzie. Ale wszystko to było czemś wtórnem, czemś wywalczonem: na początku była tylko dynastya, mocarstwo, poparcie rządu. Dawne „przy tobie stoimy i stać chcemy“, tylko w zrozumieniu tem, jakie wytworzyło się dopiero zwolna, gdy oportunizm przeżarł do cna świadomość narodową. Bo słowa sejmowego adresu wolno było rozumieć swego czasu w sensie zgodnym z myślą państwową polską. Bo pod słowem „my“ wolno było się domyślać czegoś więcej, niż Galicyan, mówiących po polsku. Bo „stać przy cesarzu“ może nietylko „kraj koronny“, lecz także samodzielna i zjednoczona Polska austryacka z Księstwem Cieszyńskiem i — jak marzyło się ongi — z Bukowiną nawet; „stać przy cesarzu“ może wreszcie unią osobistą złączona z innemi jego państwami, wyzwolona Polska. Dziś słowa rezolucyi Koła wyraźniejszy sens mają, niż słowa adresu sejmowego z przed lat czterdziestu kilku. Najpodejrzliwszy prokurator nie wykryje w niej utajonego marzenia o samoistności, o Śląsku i o Polsce. Kaduceus stańczykowski sprawuje rząd w reprezentacyi polskiej we Wiedniu.

* * *

Wobec tak odmienionego położenia stanęli w Kole Polskiem posłowie postępowi. Stronnictwo, którego kandydatami byli dwaj z pośród nich, w manifeście swoim wyborczym wyrzekło zasadę traktowania polityki państwowej z punktu widzenia interesów powszechności narodowej polskiej; określiło znaczenie możliwe tej dzielnicy jako Piemontu polskiego; na gruncie Austryi walczyć nakazało swym przedstawicielom o demokratyzacyę, o istotny rozwój parlamentaryzmu, o samodzielność narodów, o sprawiedliwość dla naszego kraju i o uznanie wyzwolenia Polski za cel mocarstwowej polityki zagranicznej. Zaprawdę, wiara polityczna zgoła różna od tej, którą na froncie rezolucyi swej umieściło Koło Polskie i która ma kurs w chwili obecnej. Prawda, jest opozycya. Są wszechpolacy z podolakami w porozumieniu. Gdy byli u steru, walki ich toczyły się dokoła foteli ministeryalnych. Teraz, pokonani, wytężają wszystkie siły w beznadziejnych atakach na namiestnika. Ta walka jest treścią ich życia politycznego. Dla śmiałej obrony interesów ludu i narodu nie wesoło układają się warunki w Kole.

I nasunąć się może pytanie: czy program nowej grupy ideowej, czy jej głęboka wiara polityczna mogą pogodzić się z ogólnym nastrojem i polityką Koła? Czy ci trzej przedstawiciele skrajnej lewicy demokratycznej nie będą nieustannie głosu pozbawiani, deptani przez oportunistyczną, wierną rządowi bez zastrzeżeń większość Koła, czy będzie się dawał słyszeć ich głos wolny? Czy nie zamilkną, nie wyrzekną się programu i haseł?

Tak prorokował pono jakiś polityk, którego informacye ogłosiła w dodatku do „Kurjera lwowskiego" p. Marya Dulembianka; to wszystko dla ułatwienia trudnej drogi jedynym na całą Polskę przedstawicielom parlamentarnym polskiego obozu postępowego. Co do „Słowa Polskiego", to opowiadało nawet legendy o tem, jak to postępowcy głosowali za votum ufności dla namiestnika: fałsz najzupełniejszy, nie mogąc bowiem pogodzić rezolucyi Koła z przekonaniem własnem, postępowcy usunęli się od jej uchwalenia. To, co obwieszczały proroczym obdarzone duchem dzienniki programowo-ludowe i demokratyczno-narodowe, to jedna alternatywa. Ale ludzie, znający posłów-postępowców i na dotychczasową ich pracę nieuprzedzonem patrzący okiem, widzieli raczej inną. Czy w rozbracie z nastrojem i z polityką Koła nie znajdą się posłowie radykalni obu stolic kraju w tem samem położeniu, w jakiem niegdyś, w latach siedmdziesiątych, znalazła się już skrajna lewica demokratyczna z Ottonem Hausnerem, Kalikstem Wolskim, Kornelem Ujejskim, czy nie będą zmuszeni, jak Lewakowski w latach siedmdziesiątych, łamać solidarności, będącej więzieniem, gromkie liberum veto przeciwstawić polityce Koła w obronie honoru narodowego i supremacyi Koła?

Ta druga alternatywa znacznie bardziej się godzi z charakterem i czynami dotychczasowymi posłów-postępowców. Lecz wydaje się ona przedwczesną. Odmieniły się bowiem stosunki od czasów Hausnera i Lewakowskiego. Istnieje w Polsce rozproszona, niezorganizowana, ale liczna, poważna, zmuszająca do liczenia się z nią opinia postępowa; istnieje ona i w kraju, w nieustannym ideowym kontakcie z Warszawą, sercem Polski i z kontaktu tego czerpie siłę moralną. Nie tworząc jeszcze stronnictwa — dotąd o kadrach tylko mówić można — staje się jednak siłą realną w pewnych momentach ogólnego zapału, pospolitego ruszenia w celu walki o wielkie hasła. Swiadkiem takiego pospolitego ruszenia właśnie był Lwów w czasie wyborów czerwcowych. Istotną jednak siłę obozu postępowego stanowi jego „czucie na lewo" kontakt z obozem zorganizowanego proletaryatu, z trójzaborową Polską Partyą Socyalistyczną, reprezentowaną dzisiaj we Wiedniu przez samoistny klub polskich posłów socyalno-demokratycznych. Dziś posłowie ci nie widzą możności skutecznej obrony mas wydziedziczonych w ramach solidarnego Koła Polskiego. Ale przez to samo posłowie postępowi stają się w obrębie Koła naturalnymi obrońcami interesów tych mas ludu roboczego, które Kołu odmawiają dotąd swego zaufania i przy wyborach szły przeciw Kołu Polskiemu. Szaleństwo dziennikarzy reakcyjnych może poniewierać robotnikami-socyalistami, jako żywiołem antynarodowym, ale żaden rozsądny polityk polski nie zlekceważy tej potęgi, przejętej duchem wolności, spragnionej walki o niepodległość ojczyzny. Stąd też posłowie postępowcy, ilekroć bronią wielkich interesów narodowych, interesów postępu, interesów ludu pracującego, reprezentują siłę godną szacunku, wzbudzającą szacunek i wpływ muszą wywierać na Koło Polskie.

Co więcej, choćby niewiedzieć jak odlegli od szczerze demokratycznego sposobu myślenia, dzisiejsi polscy posłowie parlamentarni są, mimo wszelkie nadużycia wyborcze, po większej części wybrańcami ludu, od ludu zależni, przed nim przy następnych wyborach odpowiedzialni i nie mogą oczu zamykać na wyraźną wolę mas ludowych. Rzeczą jest zaś dobrze wiadomą, że ten lud nie wyrzekł się całości i niepodległości narodu, że dla zasady popierania każdego rządu, nie myśli wyrzekać się życiowych potrzeb swoich gospodarczych, społecznych, kulturalnych, że ten, ktoby jawnie w poprzek poszedł jego koniecznym, żywiołowym dążeniom do swobody, światła, znośniejszego bytu materyalnego, ciężko za to może odpowiedzieć przed sądem wyborców. Rozumie to dobrze nawet Ekscellencya Biliński, prezes Koła. Są rzeczy, których nie może Koło Polskie nie uczynić, gdy bezpośrednio domagać się ich zrobienia będzie głos jakiś z lewicy. Są rzeczy, których zdziałania od Koła Polskiego można żądać, do których zdziałania można je zmusić. W tem leży — przy całej znikomości liczby, przy całej obcości otoczenia — siła istotna trzech przedstawicieli postępu.

* *
*

Co mają oni do zdziałania? Zbytecznem byłoby wywodzić to szerzej; każdego z nich przekonania są znane; znany jest program Polskiego Stronnictwa Postępowego i program grupy radykalnej polsko-żydowskiej, którą reprezentuje poseł Gross.

Na parę punktów niech mi wolno będzie zwrócić uwagę.

Jeden, to sprawa całości narodowej, nieuznawana, lekceważona przez dzisiejsze Koło Polskie. Votum nieufności, które dali mu posłowie śląscy, winno być dla posłów postępowych wskazówką, aby obronę spraw śląskich wewnątrz Koła czemprędzej w ręce pochwycić, poprowadzić ją dzielnie. Nie mówię już o polityce zagranicznej. Nie łatwo będzie postępowcom dojść do głosu w kwestyach, z polityką z nią związanych, a dostanie się jednego z nich do delegacyi jest na razie tyleż wątpliwem, ile pożądanem. Ale nieustannie aktualną jest sprawa krzywd rodakom naszym wyrządzanych w zaborach pruskim i rosyjskim, a prawo formalne do interwencyi i protestu dają

prześladowani za kordonami Polacy z naszej dzielnicy. Tutaj wierzymy mocno, że posłowie postępowi będą zawsze pierwszymi w Kole Polskiem do poruszenia tych spraw i że wniosą do anemicznych zwykle interwencyi i interpelacyi Koła ton śmielszy i „żywotniejszą cerę“. Doskonałym prognostykiem jest interwencya posła Lisiewicza w sprawie słuchaczy lwowskiej wyższej szkoły lasowej wraz z nadleśniczym, obywatelem austryackim, więzionych w Rosyi pod zarzutem szpiegostwa. Zarówno energia w poruszeniu tej sprawy na Kole, interpelacya do ministra Galicyi, p. Zaleskiego, jak i wniesiona później w Izbie do prezesa gabinetu Gautscha, są zupełnym kontrastem tego traktowania, jakiemu ulegała ta sprawa w poprzedniej kadencyi, tchną tonem prawdziwie męskiej energii; nie ulega wątpliwości, że sprawie tej posłowie postępowi upaść nie dadzą, a w razie potrzeby domagać się będą dyskusyi nad oczekiwaną odpowiedzią ministra.

Drugi punkt, to obrona swobód obywatelskich w domu, obrona praw konstytucyjnych, obrona parlamentaryzmu i autonomii kraju. I tutaj silną jest pozycya postępowych przedstawicieli ludu. Pierwszy krok już uczyniony. Wniosek Grossa i towarzyszy w sprawie zajść drohobyckich stał się wnioskiem Koła Polskiego; z ramienia Koła potępić mógł poseł Gross metody wyborcze, okrywające niesławą kraj i naród polski. Wniosek jego merytoryczny w sprawie trybunału wyborczego większości wprawdzie nie uzyskał, ale zdobył wielką ilość głosów; powróci on niezawodnie i zwycięży. Sposobności do wystąpienia będzie więcej. Wpłynął wniosek o zniesienie par. 14-go!

Trzeci punkt, to obrona interesów kraju ekonomicznych przez niesprawiedliwą, eksploatacyjną polityką rządu, obrona dotąd prowadzona chwiejnie, trwożliwie, z chorobliwym lękiem na myśl o opozycyi. Tutaj, jak wyżej zaznaczono, postęp daje się odczuć nawet w rezolucyi Koła Polskiego, a po tym sukursie zasadniczym przyjść mogą dalsze, bezpośrednio już związane z wystąpieniami politycznemi naszej reprezentacyi.

Groźba, zawisła nad ustawą z r. 1901 o budowie dróg wodnych, koniecznem czyni działanie energiczne i śmiałe, otwiera drogę do zasługi.

Dalej sprawa zgody narodów, nieodzownej dla nas ze względów interesu ogólno-polskiego ugody z Rusinami. Tutaj z góry możemy być pewni, że obecność posłów postępowych w Kole musi ułatwić zbliżenie, wzmocnić kierunek, zmierzający do rozwiązania kwestyi w kierunku tolerancyi i sprawiedliwości. Wątpliwości również nie ulega, że wszyscy trzej posłowie postępowi piewszymi będą w torowaniu drogi reformom socyalnym, w wywalczaniu dla nich poparcia Koła Polskiego. W tym kierunku wypowiadali się oni nieraz w sposób stanowczy i nieraz również czynem. zaświadczyli o sile swoich przekonań.

We wszystkich tych sprawach — obrony interesów narodowych, swobód obywatelskich, konieczności gospodarczych kraju, koniecznych reform społecznych, sprawiedliwości względem bratniego narodu — akcya posłów postępowych, acz odmienna co do taktyki i przeniesiona na teren Koła, schodzić się musi blizko z grupą polskich posłów socyalistycznych. Fakt ów rozumieją posłowie postępowi. Za powinność swą uważają dążyć do usunięcia przepaści, która dzieli Koło polskie od wybrańców proletaryatu polskiego, dążyć do porozumienia obu klubów polskich, do solidarnego występowania, gdy idzie o wspólną sprawę...

W Kole Polskiem postawił poseł Śliwiński rezolucyę następującą:

„Poleca się, by Prezydyum Koła z komisyą parlamentarną weszło natychmiast w porozumienie z klubem polskich socyalistów, którzy teraz stanowią odrębną organizacyę w Izbie, celem akcyi w sprawach ogólno-narodowych i ekonomicznych kraju“.

Rezolucyę przyjęto milczeniem zakłopotania, zepchnięto z porządku dziennego. Ale głos posła Śliwińskiego dobitnem jest świadectwem, że z nim i z jego towarzyszami broni myśl nowa, dawno nieobecna we Wiedniu, wtargnęła w Koło reprezentantów polskich.

Poruszyliśmy tutaj te zagadnienia, które codziennie życie polityczne stawiać musi przed postępowymi członkami Koła. Ale dzień każdy postawić może reprezentacyę polską we Wiedniu przed nowemi zagadnieniami, przed koniecznością powzięcia daleko idących decyzyi, czynienia kroków stanowczych. Dobrze, że w tych momentach obecni będą w gronie Koła Polskiego ludzie o odwadze obywatelskiej i sile przekonań, przedstawiciele śmiałej myśli demokratycznej polskiej.

MICHAŁ SOKOLNICKI.

ZWYCIĘSTWO W RAPPERSWILU.

»... bo ja się nie zawaham zaatakować tych ludzi ciemnych, a chciwych władzy przed majestatem narodu; niech osądzą, kto ma słuszność.
Henryk Bukowski. (1895).

Zjazd rapperswilski skończył się nieoczekiwanem zwycięstwem opinii publicznej kraju nad panowaniem kliki emigracyjnej i niekulturalną bezradnością ciemnych ludzi.

Zwycięstwo, mówimy, nieoczekiwane: ileż bowiem razy zwracano się do nas z tem mniemaniem głuchego bezwładu: nie walczcie, nie poradzicie nic, złego w Polsce zmienić niełatwo, co najwyżej wykruszy się ono może kiedyś samo. Zło w Polsce jest przemocne, zorganizowane, pełno ma dalekich i blizkich przyjaciół. Bajoro każde, zgniliznę ludzką zewsząd ku sobie przyciągnie, jeno się więc bardziej organizacya złego ustali.

Zwycięstwo nieoczekiwane, bo też i nie było znowu tak łatwe, jak się to może niektórym idealistom polskiej kultury i polskiej prawdy zdawało: wypowie się tylko taką prostą prawdę, że muzeum instytucyą jedynie muzealną być powinno, że co narodowem się zwie, do narodu całego należy i od jego głosu zależne, że reprezentacya polskiej kultury zagranicą nie na głupstwie i brudzie polega; więc sądzili idealiści niepopra-

wni, że wystarczy głos podnieść, a wraz wszystko się różdżką czarodziejską odmieni.

Zło w Polsce jest zorganizowane i mocne i zaiste niełatwo wzruszyć go z posady; nawet, kiedy ginie, umie ono jeszcze zasiew pod plony przyszłości zostawiać; nawet gdy starczo-bezsilne, niezdolne do życia, umie jeszcze kąsać. Doświadczyli tego na tegorocznym zjeździe rapperswilskim obecni, i jeśli w końcu oni, opozycyoniści, walczący o kulturę na rapperswilskim zamku, zwyciężyli, to bynajmniej nie przez to, że siły swoje narodowej rzeczy ofiarowali, gdyż te arogancko odtrącone zostały; bynajmniej nie dlatego, że walczyli bezwzględnie i wytrwale, albowiem nic wytrwalszego niema nad zło i ciemnotę; lecz zwyciężyli dlatego jedynie, że mieli za sobą prawdę i sprawiedliwość.

Bo trzeba nareszcie uwierzyć, że w Polsce prawda i sprawiedliwość mają także moc swoją, która nawet historycznie nie mniej szanowną jest w naszej ziemi, aniżeli potęga ciemnoty i głupstwa, aniżeli wszeteczne organizacye zastarzałego zła. Trzeba wreszcie uwierzyć, że dla dobrej woli walczącego w Polsce człowieka niema placówek niezdobytych. Może kosztować, co chce, można w tej walce nietylko pięście, ale i serce sobie zakrwawić, ale można walczyć i w walce tej można zwyciężyć.

Rada rapperswilska zamiast oddać się pod sąd opinii publicznej, jak to w sprawie, ogół cały obchodzącej, było wskazane, lub zamiast iść poprostu przed sąd obywatelskiego honoru, przed jaki ją z tego miejsca dwukrotnie pozywaliśmy, wolała wybrać drogę ślizką: sama sobie wybrała sędziów; a ponieważ takich nie mogło być wielu, którzy li tylko na prośbę, odpowiedzialność i pod kontrolą oskarżonego by sądzili, więc też na zaproszonych 17 zjechało 4. Zdawało się wtedy obowiązkiem godności publicznej, aby ci ludzie wrócili, skąd przyszli; ale paniczna obawa przed obecnymi w Rapperswilu reprezentantami opinii krajowej, przed istotnie powołanym sędzią, dyrektorem Muzeum Narodowego w Krakowie, była tak mocną, a konieczność sądu nad gospodarzami instytucyi tak wszechwidoczną, iż złożono w końcu ów osobliwszy „sąd“ z samych, z małym wyjątkiem, „naszych przyjaciół“.

I trudno sposobności lepszej do przypomnienia tej mądrej bajki, na końcu której: „śród najlepszych przyjaciół psy zająca zjadły“. Komisya jednostronna, przez Radę wybrana, od Rady zależna, żadnej istotnej własnej kompetencyi nie mająca, ani wewnętrzną kompetencyą określana, pracując bez regulaminu, na gwałt, bez wejrzenia w archiwum Rady, bez zasięgnięcia szeregu zażądanych świadectw, nie zdołała wprawdzie ani do źródeł prawdy dotrzeć, ani istotnego ogromu muzealnej sprawy w całości określić i osądzić; ale przecież znaczną część koniecznej pracy spełniła w sposób rzeczowy i sumienny; snać wyraźna jasność, bezwzględna potrzeba rapperswilskiej sprawy rzuciła się tym ludziom w oczy i poddała ich świadomie, czy bezwiednie odpowiedzialności zbiorowej, obowiązkom narodowego sumienia. Z trzema faktami walczyła w Rapperswilu opinia publiczna: z ciemnotą kustosza, z nadużyciami dyrekcyi, z projektem rozbioru Rapperswilu. Wszystkie trzy komisya musiała wytknąć i potępić. Zażądała stanowczo i uroczyście a wyjątkowo mocną formę tego oświadczenia — należy najpewniej w pierwszym rzędzie sz. jej prezesowi, p. Libickiemu za zasługę poczytać — usunięcia kustosza; wyraziła bezwzględną opinię o potrzebie efektywnej nie zaś nominalnej dyrekcyi dla Muzeum; wreszcie potępiła nieodwołalnie ów przeze mnie wytknięty, a jeszcze potem z dziecinnym uporem, wbrew logice prawa broniony, § 16 Ustawy muzealnej, sprzeczny z aktem fundacyi, rodzący takie nadużycia, jak ów po wyrzuceniu bibliotekarza p. Karczewskiego powstały projekt wyrzucenia w Rapperswilu całej biblioteki. Niestety doniosłe te i dodatnie rezultaty ograniczone zostały przez taktykę, jaka wynikła z prawnej niedojrzałości powołania komisyi. Ugięła się ona pod rezultatami, od jakich zmuszono ją zacząć: nie zbadała dostatecznie „ważnej kwestyi wycinków Chodźki“, przy której moralną pewność świadectwa Żeromskiego pozwoliła sobie zachwiać mozolnem, a niepotrzebnem wyszukiwaniem i konstatowaniem rozmaitych innych zbiorów; pozwoliła sobie na podstawie, nie wiem już jakich, niewiarogodnych świadectw, winę niektórych, krzycząco fałszywych określeń kustosza („tabakierka“ Wita Stwosza) rzucić na nieskalaną pod względem samej już fachowości pamięć nie mogącego się bronić ś. p. Henryka Bukowskiego; nie starczyło jej odwagi do właściwego określenia faktu samowolnego przerobienia pozycyi inwentarza przez kustosza na jego własną korzyść; natomiast, rządząc się łatwo w przyjaźni wyrozumiałą rzeczą i postanowiwszy oszczędzać ludzi, aby zdławić rzecz, wdała się w całkowicie zbyteczny, a już zgoła batiniolską przesadą tchnący panegiryk dla radców, który w danej sytuacyi, nawet wobec najszanowniejszych ludzi tylko niesmak wzbudzić byłby zdolny. Na razie, przed wydrukowaniem pełnego materyału na tych ogólnych zastrzeżeniach poprzestaniemy; obawiamy się niestety, iżby emigracyjno-obywatelskie choroby: brak odwagi cywilnej i przenoszenie spraw osobistych nad publiczne nie rozpleniły się.

* * *

Zwycięztwo, powie może ktoś, nieznaczne, bo jeszcze nie widać ani konkretnych rezultatów komisyjnej opinii, ani też ludzi na czele, coby wzbudzali zaufanie bez zastrzeżeń. Odpowiemy: od największego zwycięztwa ważniejszem jest jego wyzyskanie. Samowola rapperswilska została poruszoną ze swego miejsca i na takowe już nie wróci; by ją całkiem unieszkodliwić, należy trzymać w obudzeniu czujność opinii narodu. Rapperswil stał się znów rzeczą w narodzie ważną, oto może główny i świetny nad wszystko rezultat. Rapperswil stanął pod kontrolą opinii kraju. Te fakty stanowią istotę rzeczy na przyszłość, a wyrazicielem jej najlepszych będzie krajowe Towarzystwo Przyjaciół Rapperswila.

Od jego siły zależeć będzie wyzyskanie zwycięztwa.

Od jego przezorności będzie zawisłem walkę prowadzić na terenie jawnym i publicznym i nie dać się sprowadzić na pole, po którem długo jeszcze harcować będzie bezkarnie mściwość obalonych ambicyi i zgryzota zawiedzionej zachłanności.

HENRYK SALZ.

Z EROTYKÓW.

TY...

Rozkosznie pachną sianokosy,
zachodnie słońce ogniem skrzy —
jak słodko śmieją mi się moje losy,
od kiedy uśmiech Twój widziałem — Ty...

Zachodni promyk igra z listkiem,
rozlewnem szczęściem krtań słowicza drży —
jakże me oczy się radują wszystkiem,
od kiedym spojrzał w Twoje oczy — Ty...

Zachodnie słońce za górami gaśnie,
wydycha ziemia wonne sny —
jak cudnie grają w mojem sercu baśnie,
od kiedy wzięłaś mi je z piersi — Ty...

PAMIĘTASZ?!..

Pamiętasz? — Jasne — słoneczne południe —
błękitny niebios dzwon...
Oczy się Twoje uśmiechały cudnie —
pamiętasz? — Ty i on...

Tyle chciał mówić — ale słowa marły,
serdeczny tracąc ton...
Może w tej ciszy dusze ślub zawarły
na życie i na skon?...



SPRAWA DUBLETÓW RAPPERSWILSKICH.

(WYJAŚNIENIE DRA MICHAŁA SOKOLNICKIEGO).

Rozdział sprawozdania Komisyi rapperswilskiej, odnoszący się do tranzakcyi kupna dubletów, przezemnie z Zarządem muzealnym zawartej, spowodował mnie do zastrzeżeń pismem z dnia 16. b. m. szanownemu prezesowi tejże Komisyi, p. St. Libickiemu, przesłanych. Gdy w odpowiedzi za datą 20. b. m. za-

komunikowano mi, iż „co do orzeczenia Komisyi, to chociażby zaszła jaka pomyłka, dziś już poprawioną być nie może“; gdy nadto tekst, przeciwko któremu się zastrzegłem, ogłoszony już został („Kuryer Warsz.“ z 18. b. m.), nie pozostaje mi nic innego, jak tylko jeszcze przed sądem, który w mojej sprawie będzie orzekał, faktyczne przedstawienie sprawy z mojej strony opublikować.

Przedewszystkiem, co się faktycznej strony sprawozdania Komisyi tyczy, jest ona, począwszy od drobnych szczegółów, skończywszy na ważnych uogólnieniach, wypełniona błędami, a mianowicie:

1. Książka Preuss. Jahrbücher, wymieniona w rzędzie cennych dubletów, przezemnie zabieranych, była i jest prywatną moją własnością, tyle tylko wspólnego z Muzeum mająca, iż ją z mojej własnej paki książek, umieszczonej w sieni muzealnej, do mojej własnej paki z wydanymi mi dubletami włożyłem. Szczegół ten — jedyny — na moje usilne żądanie i z powodu śmieszności zbyt łatwego wynajdywania u mnie w ten sposób dalszych „unikatów“, do sprawozdania ostatecznego nie będzie wciągnięty, znajduje się on natomiast jeszcze w powoływanym wyżej tekscie „Kuryera Warszawskiego“.

2. Książka La Pologne Chodźki „w kilku tomach“, jak opiewa sprawozdanie, jest I-szym jedynie tomem (dubletem) tego dzieła, w czterech zeszytach oprawnym. Ponieważ trzytomowy komplet tego dzieła jest rzadkością, więc ustęp „o kilku tomach“, w dodatku mający dowodzić cenności wziętych przezemnie dubletów, sprawia wrażenie, iż tu o takim właśnie trzytomowym komplecie mowa, a bodaj i o nieznanych jeszcze bibliofilom polskim dalszych tomach. Ustęp zaś ten, zredukowany do ścisłej prawdy, a więc tom I. La Pologne Chodźki, oznacza książkę, codziennie na quais paryskich za parę franków sprzedawaną.

3. Dzieła Woltera, egzemplarz niekompletny, nabyty przezemnie za poważną sumę 54 (a więc nie 52-óch) fr., po czem dopiero rzadszą i pełną 75-tomową Kehlską edycyę w handlu paryskim za 40 fr. do sprzedania widziałem, nie był nigdy objęty transakcyą kupna dubletów, ani przezemnie za takowy podawany. Nabyłem go już po wyjaśnieniu p. Kustosza w sprawie druków obcych i wtedy, gdy egzemplarz ten odłożony został przez nowego bibliotekarza, jako do zachowania w Bibliotece nie nadający się.

4. Panu A. S., wedle informacyi tegoż, chciano sprzedać za 300 fr. wszystkie dublety biblioteczne, tak samo jak i mnie, które się w danej chwili w Bibliotece znajdowały. Warunków tej umowy ostatecznie p. A. S. nie przyjął; wtenczas ja zaofiarowałem cenę o 200 frk. wyższą, natychmiast przez Zarząd zaakceptowaną.

5. Transakcyę moją z Zarządem muzealnym zawarłem za pośrednictwem p. Karczewskiego nie dlatego wcale, iżbym z p. Kustoszem „wogóle wówczas nie mówił“, jak podaje, mylnie mnie zrozumiawszy, komisya, ale jedynie dlatego, że traktowałem Kustosza Muzeum Rapperswilskiego, p. Rużyckiego de Rosenwerth, zawsze w ten sposób, iż o żadnej poważnej sprawie mówić z nim ani można, ani wypada.

6. Druki obce, wydzielone, a raczej wyrzucone z Biblioteki, a wskazane mi przez bibliotekarzy, jako transakcyą moją objęte, w liczbie około 500 tomów, będące przeważnie makulaturą, brałem do chwili, kiedy mi nowy bibliotekarz oświadczył, iż takowe do mnie nie należą, poczem z żywem zadowoleniem zrzekłem się tego ciężaru.

7. Druków starych wskazano mi szafkę — między innemi, w których się znajdowały sprawdzone już dublety. Było ich razem około 10 książek, prawie wyłącznie zdefektowanych i niekompletnych.

8. Dublety z tych ośmiu miejsc, gdzie je odłożożono po sprawdzeniu, pozwolono mi brać bez dalszego sprawdzania. Dublety, jakie oddzielono w dalszym ciągu z fond bibliotecznego — ilość takowych nie przeniosła kilkunastu — oraz dublety w przegrodach „do sprawdzenia“ włożone, były mi wydawane wyłącznie przez bibliotekarza, zawsze po ścisłem — o ile mnie przynajmniej wiadomo — sprawdzeniu. „Pan S., pisze Komisya, sam wybierał i wyszukiwał ten materyał, o ile nie był już wysortowany“... a dalej: „Odniósł się p. Zieliński (bibliotekarz) do p. Gałęzowskiego (dyrektora), który również zabronił, aby kupujący sam sobie książki wyszukiwał“. Z tych dwóch przesłanek naturalny potem wniosek Komisyi, iż „pod żadnym warunkiem nie należało dopuszczać, aby kupujący sam w Bibliotece dublety wyszukiwał“. Wniosek całkowicie słuszny, ale bez potrzeby do mnie zastosowany, gdyż na nieprawdziwych przesłankach oparty, bowiem:

„Sam wybierałem i wyszukiwałem materyał“ nie do kupna dubletów, ale do mojej pracy historycznej się odnoszący; tę wyjątkową moją sytuacyę w Bibliotece, pozostałej po usunięciu p. Karczewskiego, jak bez gospodarza, uczyniłem wiadomą Zarządowi Muzealnemu dwukrotnie: ustnie w grudniu 1910, na piśmie w kwietniu 1911, przyczem, ani w jednym ani w drugim wypadku przychylnej ani nieprzychylnej opinii o mojem „szukaniu samemu materyału“ nie otrzymałem. Nie jest mi zatem wiadomem, czy bibliotekarz p. Z. zwracał się i kiedy do p. G. (dyrektora), protestując przeciwko temu, „aby sobie kupujący sam książki wyszukiwał“, ani czy p. G. (dyrektor), tego właśnie niebyłego faktu „zabronił“; znam natomiast dzięki uprzejmości p. Zielińskiego (bibliotekarza) list jego do Zarządu Muzealnego z kwietnia 1911, na kilka dni przed wyjazdem z Rapperswillu i już po ukończeniu przezemnie wszelkiego wyboru dubletów pisany, którym zaświadcza on o mnie wyraźnie, iż każdy niesprawdzony jeszcze dublet jemu, bibliotekarzowi, urzędnikowi odpowiedzialnemu za wydawanie książek, do sprawdzenia przekazuję.

9. Skąd pochodzi unikat Kroniki Stryjkowskiego, czy przez omyłkę jako defektowny między dublety sprawdzone go odłożono, czy go źle sprawdzono, na to naturalnie, jako nabywca, któremu książki i szafy z książkami wydano, i nie będąc urzędnikiem, który ich zawartość bada i za takową jest odpowiedzialnym, żadnej odpowiedzi udzielić nie mogę, żadnego jednakowoż z tego tytułu zarzutu, ni odpowiedzialności, ni insynuacyi do siebie nie przyjmę.

Oto są błędy i fałsze w sprawozdaniu Komisyi zawarte. Te błędy faktyczne pochodzą wszystkie od jednej fałszywości formalnej. Komisya, gdy tylko niewłaściwości w umowie między mną, a Zarządem muzealnym zawartej, zauważyła, winna była rzecz całą jako konflikt prawny potraktować i stosowny sąd, mający jednaką dla obu stron wagę, a złożony z rzeczoznawców wyłonić. Jedynie taki sąd rzeczoznawców mógł i może stanowić kompetentnie o kwestyi „krzywdy“ i „zysku“ całej umowy, co do której zdanie moje jest stanowczo ze zdaniem Komisyi rozbieżne. Ta droga sądu została wskazaną komisyi, lecz wskazania tego nie usłuchano. Odtąd na Komisyi obecny nie byłem, na poszczególne tylko i konkretne kwestye

zapytany, dawałem odpowiedź. Ani jednej kwestyi z wymienionych, prócz punktu 5-go, nie przedstawiono mi do drugostronnego oświetlenia, czy do faktycznych wyjaśnień. Przy rozpakowywaniu pak, będących moją własnością, nie byłem obecny i za bezprawny sposób, w jaki je uczyniono, nie przyjąłem żadnej odpowiedzialności. Wszystkiem tem uwidoczniłem dobitnie, iż nie staję wcale ani chwili przed Komisyą w charakterze nabywcy dubletów, czy strony kontraktującej, gdyż nie uznaję jej za jurysdykcyę do sądzenia kompetentną. Jest rzeczą nie wskazaną, aby Komisya do zbadania zarzutów przeciw Radzie i z Rady samej wyłoniona, a więc stanowiąca sama w danym wypadku jedną z kontraktujących stron, sądziła postępowanie drugiej bez pełnoprawnego udziału tejże. Tymczasem orzeczenie Komisyi pełne jest takich w stosunku do mnie, jako kontraktującej strony postawionych jawnych, czy nawpół ukrytych zarzutów, którym bezprawnie formę osądzeń nadano. Jako przykład, do jakiej potworności na drodze takiego rozmijania się z prawem dojść można, przytoczę fakt zajmowania się przez komisyę przedmiotem, j a k b y ł y w m o j e j w ł a s n e j pace zapakowane zdefektowane pierwsze karty, a jak reszta kroniki Stryjkowskiego. Mogę odpowiedzieć nad kryjącą się pod tem „skonstatowaniem faktu“ niegodną insynuacyę tylko w jeden sposób: pakowałem książki w mojej pace, jak mnie się podobało; a ponieważ przy rozpakowywaniu mojej paki przez obcych nie byłem obecny, więc do sposobu rozpakowania i znajdywania tego czy innego zapakowanego przezemnie przedmiotu, ani do prawdy czy ścisłości odnośnego orzeczenia nie mam najmniejszego powodu mieć zaufanie.

Zatem: Opinia Komisyi o mojej sprawie jest opinią jednej strony, jest jako osądzenie rzeczy nieważną. Do osądzenia zaś sprawy w całej jej rozciągłości uznałem za stosowne powołać obywatelski sąd rzeczoznawców. O ile bowiem mało mnie zdolne obchodzić na jednostronnem faktycznem wyjaśnieniu oparte takie czy inne wnioski w prasie o mojem postępowaniu głośne — sąd bowiem fałszywy i potwarczy sam siebie wcześniej czy później fałszem dotknie i osądzi; — to nie może mi być obojętną, ani zadziwiająca lekkomyślność, z jaką podobało się Komisyi wydawać o mnie bezprawne orzeczenia, ani też powstałe gdziekolwiekbądź twierdzenie, jakobym jakąkolwiekbądź akcyą moją skrzywdził Muzeum rapperswilskie, którego ocaleniu, całości i chwale niemało poświęciłem sił.

Osądzenia przeto mojej sprawy i mojego postępowania, oraz całej kwestyi tranzakcyi dubletowej kompetentnemu sądowi przekazać nie omieszkam, od orzeczenia którego uzależnię dalsze postępowanie moje tak pod względem umowy nabywczej, jako i w stosunku do nabytej własności.

Sils-Maria (Engadin), 24. sierpnia 1911.

MICHAŁ SOKOLNICKI.



DR. MARYAN KUKIEL.

PO WALCE O RAPPERSWIL.

Byliśmy wśród tych, którzy pierwsi poruszyli sprawę Muzeum Narodowego w Rapperswilu. A uczyniliśmy to w przeświadczeniu, że spełniamy obowiązek patryotyczny i obywatelski, w przeświadczeniu o wielkiej doniosłości tamtej stanicy polskiej na obczyźnie, w przeświadczeniu o wielkiej misyi Rapperswilu, w przeświadczeniu wreszcie, że dzisiejszy stan rzeczy na zanku rapperswilskim szkodliwy jest dla honoru naszego narodowego, a doniosłość instytucyi w niwecz obraca.

W liczbie tych, którzy u nas o Rapperswilu pisali, wołając o zbadanie stanu muzeum i nieodzowną poprawę, nie było nikogo, ktoby osobiste miał racye do „opozycyi“ owej przeciw Radzie Rapperswilskiej, ktoby żywił prywatne jakoweś ku instytucyi lub zarządowi jej uprzedzenia i niechęci. Insynuują nam teraz pobudki stronnicze — istne urągowisko! W jednej linii z „Życiem“ szedł „Czas“ i „Słowo Polskie“. Że p. Balicki piersiami osłaniał Dyrekcyę Muzeum przed naszymi atakami, to zaiste już nie nasza wina. Insynunją nam prywatę — na to odpowiedzią może być tylko wzgardliwe ruszenie ramion. Winią nas o nienawistny stosunek do ludzi, o osobistą kampanię, gdy my, z najboleśniejszem uczuciem, zatrzymaliśmy w tece redakcyjnej piękny, pełen mocy głos jednego z seniorów piśmiennictwa i patryotyzmu polskiego, dlatego, że o ludziach i o ich czynach wyroki ferował zbyt porywcze. Zaprawdę, nie szło nam o zgnębienie ani tego weterana-patryoty, ofiarnego i oddanego sprawie, acz rządzącego despotycznie i źle, jakim jest pułkownik Gałęzowski; zaprawdę nie szło nam o zgnębienie biednego, starego żołnierza, zdziwaczałego w swem życiu pustelniczem, który jako kustosz Muzeum tyleż okazał poświęcenia, ile nieumiejętności i prostoduszności iście nie z tego, ani nawet z poprzedniego wieku. Jednego tylko żądaliśmy: n a r o d o w e j k u r a t e l i. Żądaliśmy rewizyi przez ludzi kompetentnych. Żądaliśmy rozciągnięcia nad instytucyą stałej kon-

troli czynników, mających zaufanie społeczeństwa polskiego.

Owa „opozycya“, owe „ataki“ zrobiły swoje. Sierpniowy zjazd Rady Muzealnej przełomowym był może w dziejach Rapperswilu. Na innem miejscu piórem wybitnego historyka, jednego z „młodych“, z „opozycyonistów“, za swą odwagę cywilną napadniętego dziś i spotwarzonego przez mafię dziennikarską, ocenione zostały wyniki Zjazdu, krytyce poddany sam fakt stwarzania komisyi rewizyjnej w składzie jednostronnie ustanowionym przez Radę Muzealną, scharakteryzowaną treść orzeczenia owej komisyi.

Pozostaje przebieg samej walki. Była bowiem walka zacięta i była atmosfera walki, gorączki, krzyżujących się oskarżeń, obustronnego rozgoryczenia. Była z jednej strony pewna namiętność i bezwzględność w ataku, przejaskrawienie faktów, porywczość naturalna u artystów — była z drugiej strony chęć obronienia stanu posiadania za wszelką cenę i bez względu na dobro samej sprawy, w toku zaś walki wypełzła na wierzch i intryga i jakaś — *lachons le mot* — mściwość starcza. Ważyliśmy przed wypowiedzeniem ów wyraz w sumieniu naszem i wypowiadamy go w pełni poczucia odpowiedzialności przed majestatem prawdy.

Zarysowała się przepaść między dwoma obozami — bojowników reformy i obrońców *ancien regimu*. Z wyjątkiem paru bywalców rapperswilskich krajowi uczestnicy zjazdu nie byli w stanie wniknąć w istotę sporu. Byli pod urokiem zasługi, dobrej woli i ofiarności obwinionych rządców Rapperswilu. Odnieśli wrażenie, że ludziom tym dzieje się krzywda.

Sprawa sama zeszła w ich oczach na plan drugi. Przesłonili ją ludzie. Ich walki dawne, ich przepiękna bezinteresowność, ich dola tułacza. Trzeba było czytać, acz w lwiej części skażone informacyami fałszywemi i wykrętnemi, w dobrej powtórzonemi wierze, korespondencye „Kuryera lwowskiego“, aby zrozumieć, z jaką siłą przeszłość osób, wchodzących w grę, przeciwstawiła się oskarżeniomi natarczywym postulatom „młodych“, reprezentujących przyszłość.

Szukała Komisya prawdy. Szukała jej uczciwiej, niż większość obecnych dziennikarzy galicyjskich, niż przedstawiciel biura korespondencyjnego, czyniący wszystko by prawdę spaczyć, okaleczyć, nagiąć do potrzeb osób, na których był usługach. Komisya chciała ujrzeć prawdę. I nie można jej dziwić się zbytnio, że prawdę ową nadto często oglądała przez pryzmat pobłażania i litości dla rzeczywiście oskarżonych — tych tułaczy — starców, że tam, gdzie dwa twierdzenia stanowcze stawały naprzeciw siebie, gdzie brakło oczywistego dowodu, skłonna była orzec: niewinni.

Tak było ze sprawą wycinków Chodźki. Najcięższy to był ze wszystkich zarzutów.

Tutaj miała komisya do czynienia z wręcz przeciwnem przedstawieniem rzeczy przez dwóch ludzi — Żeromskiego i Rużyckiego. Rużycki wskazał na zbiór wycinków w kilku foliantach i na inne jeszcze pliki druków po Chodźce, jako na ten właśnie zbiór, o którego znaczeniu prawił Żeromski. Żeromski zaprzeczył tożsamości pokazanych mu zbiorów z tymi, na których zniszczenie spoglądał przed piętnastu laty. Rozstrzygnąć powinny były zeznania nieobecnych na zjeździe dwóch osób, które wraz z Żeromskim opuściły wówczas, w dniu niszczenia zbioru, zamek rapperswilski. Byli to pp. Z. Chmielewski i A. Dobrowolski. Żadnego z nich nie przesłuchano, choć w drodze telegraficznej uczynić to było można. Komisya uznała zarzut za nieudowodniony, ale Żeromski, wbrew kłamliwym relacyom dziennikarskim, od niego nie odstąpił.

Drugi zarzut ciężki dotyczył księgi ze sztychami Oleszczyńskiego[1]). Miała ona być uszkodzona, karty jej zalane lakierem i połamane. Znaleziono ją bez śladów przełamania i lakieru, ale zdefektowaną, bez karty tytułowej i następnych. Żeromski zarzut swój podtrzymywał. Należało powołać innych świadków, pp. Ignacego Domagalskiego i Zygmunta Wasilewskiego, którzy właśnie księgę tę na strychu uszkodzoną mieli znaleść. Tego nie uczyniono, a usłużni dziennikarze rozkłamali po świecie, że księga Oleszczyńskiego jest cała i nietknięta, podobnie, jak dobra sława kustosza jako konserwatora zbiorów...

Trzeci ciężki zarzut: przestrzelone elzewiry... Żeromski powołuje świadka, p. Zygmunta Wasilewskiego. W drodze telegraficznej zapytany p. Wasilewski, czy widział kustosza strzelającego do elzewirów, odpowiada, że gdyby widział, strzelaćby nie pozwolił, ale ten sam kustosz pokazywał mu książkę przedziurawioną, chwaląc się celnością strzału. Zeznanie to streszcza prasa poprostu: nie widział, żeby kustosz strzelał do elzewirów... Resztę przemilcza. Na tem polega sumienność informatorska. Co do komisyi, ta dochodzi do pocieszającego i niewątpliwie słusznego wniosku, że w każdym razie strzelanie to nie było jakąś rozrywką stałą.

Inny zarzut ważny co do samowolnej poprawki w księdze darów przy miniaturze Chodowieckiego — kustosz usunął nazwisko Bukowskiego, jako ofiarodawcy a wpisał własne. Komisya nic nie orzekła, bo nie mógł być Bukowski z grobu wywołany jako świadek. I takich zagadek, do rozwikłania dzisiaj zgoła niemożliwych, pozostało wiele.

Tak z maszyną Baranowskiego. Okazało się, że są w lamusie muzeum trzy maszyny Baranowskiego całe i nienaruszone, oraz... pudełko. Inwentarz podaje sztuk cztery. Żeromski przypuszcza z dużą dozą prawdopodobieństwa, że ta czwarta, ta której niema, właśnie jest tą, którą widział rozkręconą przez kustosza. Kustosz twierdzi, że ta czwarta, to właśnie pudełko. Komisya zostawia rzecz w zawieszeniu. Biuro korespondencyjne tryumfuje nad nicością oskarżenia.

W innych sprawach, jak „tabakierka“, czy „pudełko“ Wita Stwosza i fajka Batorego zwalono winę na nieboszczyków, Bukowskiego i Platera. Inne, drobne zarzuty odpadły.

Sporo wandalizmów, o których traktują memoryały Dobrzyckiego i Żeromskiego pousuwano z czasem i naprawiono, jak tego zresztą można było się spodziewać. Najbardziej rażących przykładów niema dziś zatem w Rapperswilu, co z kolei złagodzić musiało znacznie opinię komisyi.

---

[1]) Nie Pleszczyńskiego, jak przez pomyłkę podało biuro telegraficzne, a powtórzyła... cała prasa polska.

Stwierdziła ona natomiast i uszkodzenie obrazu przez dopisek kustosza i fakt, że była kiedyś owa „laska Kościuszki“ i że była kiedyś mowa o krwi z pod Maciejowic na prześcieradle Kościuszki, że adres angielski do Polski z r. 1832 był ongi gwoździami przybity do ściany, że w napisach objaśniających i na tablicach są błędy ortograficzne, że wyroby kustosza „do muzeum w ścisłem słowa znaczeniu zupełnie się nie nadają“, że autentyczność szabli księcia Józefa, „z którą utonął w Elsterze“ stwierdzić się nie da, że przy sprzedaży dubletów*) postępowano w sposób „szkodliwy dla instytucyi i cień na nią rzucający“, wreszcie, ...że p. Gembarzewski „podawał przykładowo znakomite uwagi o niewłaściwej klasyfikacyi, konserwacyi i rekonstrukcyi mundurów“; ponieważ nie były one w formie oskarżenia podane, komisya nie weszła w ich treść, poprzestając na wyrażeniu wdzięczności. Podobnie odniosła się do uwag dyr. Kopery i dra Weila. Wreszcie fakt dotąd nie notowany w „Życiu“, a bolesny: oto Niemiec Herweg, który przed 20 laty kiepskiemi malowidłami pokrył mury muzeum w Rapperswilu, z krzywdą dla sztuki polskiej i dla naszej godności narodowej. Fakt dawny, to prawda, zawsze jednak aktualny, gdy idzie o kompetencyę p. Gałęzowskiego do sprawowania rządów w Polskiem Muzeum Narodowem. W konkluzyi orzekła komisya jednomyślnie konieczność reform i stwierdziła, że „przy całem, bezgranicznem oddaniu się p. Rużyckiego sprawom Muzeum, nie może on być uważany za kierownika, odpowiadającego wymaganiom dzisiejszym co do tego rodzaju instytucyi...“

Po prasie rozniosło biuro korespondencyjne wieść — o pogromie oskarzycieli i zupełnej nicości lub bagatelności zarzutów.

— — — — — — — — — — — —

Ze szkodą najdotkliwszą dla sanacyi stosunków rapperswilskich sprawa jej komplikowała się sprawą zamierzonego, zadecydowanego już w r. 1910 przeniesienia części zbiorów, a mianowicie biblioteki do Lwowa. Z punktu widzenia bezpośrednich korzyści dla badaczy przeniesienie biblioteki, zwłaszcza zaś archiwum rapperswilskiego, byłoby zasadniczo pożądanem. Natomiast — pomijając inne, poważne racye, przemawiające przeciw przeniesieniu — staje się ono zgoła nie wskazanem, jeśli jest tylko wynikiem niezdrowych w instytucyi stosunków i naruszeniem aktu fundacyjnego. Tak właśnie było. Na sprzeczność między atrybucyami Rady co do przeniesienia muzeum, w statucie zawartemi, a aktem fundacyjnym, przewidującym jedynie przeniesienie muzeum do niepodległej Polski, wskazało orzeczenie komisyi na czele artykułu 1. I było do przewidzenia, że tak się stanie z chwilą, gdy przed sądem obywatelskim staną sprawy rapperswilskie. Uzasadnioną była więc lwowska, lokalna racya stanu, zmierzająca do obrony istniejącego stanu rzeczy na całej linii, do udaremnienia rewizyi. Ale ta racya stanu podyktowała czyny, które niekoniecznie były zgodne zarówno z dobrem instytucyi, jak i z poczuciem sprawiedliwości. Pierwszym z tych czynów była piękna, ze znaną werwą i oryginalnością napisana przedzjazdowa broszura czcigodnego prezydenta Rutowskiego — „Rapperswil“ — nacechowana tym samym optymizmem świadomym i rozmyślnym, z jakim oceniano przed paru laty zbiór Jachowicza i galeryę lwowską starych mistrzów. Tutaj nie dopuszczano jeszcze myśli o reformie, imputowano natomiast Jeżom, Żeromskim, Sokolnickim, Karczewskim-Jasieńczykom, Szpotańskim i Koperom — chciwość jako pobudkę do kampanii! Nastrój był zrobiony; uledz mu przedewszystkiem musieli blizcy współpracownicy p. Rutowskiego, a więc p. Aleksander Czołowski, który znaleść musiał niemało punktów stycznych między gospodarką rapperswilską, a własną w Archiwum miejskiem i w innych instytucyach. Był on członkiem komisyi. Dalej dziennikarzy paru, blizko związanych z p. Rutowskim, jego zamierzeniami i pracami. Oni to stworzyli w Rapperswilu rodzaj agencyi korespondencyjnej, a w gorączce lwowskiego patryotyzmu dobre swoje imię narazili na szwank, roztelegrafowując i rozpisując informacye tendencyjne, jednostronne, fałszywe, skompromitowane przez samo orzeczenie komisyi, zdezawuowane już dziś pośrednio, lub bezpośrednio, przez dwa z pośród pism, których byli korespondentami.

Nie poprzestano na obronie. W ślad za ekskursem broszury p. Rutowskiego rzucono się na cześć oskarżycieli. Powód dało hurtowne nabycie przez dra Sokolnickiego — po cenie rzekomo nadzwyczaj nizkiej — wysortowanych druków rapperswilskich.

Ukuto plotkę, jakoby on sam chodził po bibliotece i wybierał dublety, a między niemi zabrał także unikat, druk z XVI w. Ukuto plotkę, jakoby to się działo *sub auspiciis* p. Karczewskiego — który w owym momencie, kiedy dr. Sokolnicki zabierał nabyte paczki z książkami, dawno bibliotekarzem już nie był, sprzedaż zaś druków zawsze była atrybucyą kustosza. Jaka była procedura z rozważaniem tego zarzutu, list dra Sokolnickiego wyjaśnia. Dość, że rewelacye dra Czołowskiego, który był tu oczywiście najzupełniej... kompetentnym, obiegły prasę w tej formie, jakoby kupno było aktem samowoli i bezprawia. „Kuryer lwowski“ pisał o „rozdrapywaniu“ zbiorów przez oskarżycieli, a „Dziennik Polski“ (organ p. Czołowskiego) lżył ostatniemi słowy Sokolnickiego, Karczewskiego, Żeromskiego. Rzecz samą winien, zgodnie z żądaniem dra Sokolnickiego, rozważyć sąd rzeczoznawców, ale forma napaści była niegodziwą bez względu na to, czy na sprzedaży dobry, czy zły interes zrobiło Muzeum rapperswilskie. Podobno — tak informuje artykuł Kłyszewskiego w warszawskim „Kuryerze Porannym“ — podobno większość pak, nabytych przez Sokolnickiego, mieściła makulaturę bez wartości, a cena była nizką, jak zawsze przy zakupach bez prawa wyboru. Dajmy na to jednak, że Sokolnicki tanio nabył dublety. Czyż koniecznie miał czekać, aż znowu nabędzie je handlarz zawodowy, jak to dwukrotnie przedtem miało miejsce? „W sprawie handlu dubletami zbrodniarzem być nie może ten, co kupił, ale ten, co sprzedał“ — pisze czcigodny pułkownik Miłkowski i to powiedzenie kwestyę co do jej strony moralnej całkowicie zamyka.

*) Zarzut ten pierwsze „Życie“ podniosło w artykule p. t. „Handel własnością narodową“ (R. II, zeszyt XI).

Orzeczenie komisyi szeroko traktuje osobistość rządców rapperswilskich. I my pozwolimy sobie na ekskurs osobistej natury.

Bo nie jest rzeczą obojętną, kim jest znieważony dr. Michał Sokolnicki. Potomek rodziny, która tradycyjnie niosła mienie i krew na usługi Rzpltej. Prawnuk bohatera z pod Góry Kalwaryi. Sam tchnie kulturą honoru i odwagi. Pisarz polityczny o pazurze lwim, stylista jeden z najoryginalniejszych w Polsce. Autor głębokiego studyum francuskiego o początkach Wielkiej Emigracyi, dedykowanego „dawnej chwale Rapperswilu“. Autor rozległych studyów o historyografii dziejów porozbiorowych; drukowane w „Krytyce“, zapowiedziana książka.

Autor dzieła o generale Sokolnickim, które opuści w ciągu najbliższych miesięcy półki księgarskie. Ma dziś powierzone przez Akademię zbadanie i ogłoszenie źródeł do dziejów Emigracyi. I oto znieważonego, spotwarzonego, obniesionego po prasie w kłamliwych telegramach i listach, Rada Muzealna usuwa od korzystania ze zbiorów, zamyka mu wstęp do biblioteki. Udała się p. Czołowskiemu operacya. Zemsta była wyborna. Szkoda, że za skrzywdzonym pisarzem staną koledzy po piórze, staną historycy polscy i zmuszą do otwarcia mu bramy Rapperswilu.

Sokolnicki był oczerniony. Ale Karczewski i Szpotański? Im również wzbroniono wstępu do Muzeum. Skreślono ich z listy członków korespondentów. Jeż zmuszony do ustąpienia z urzędu kontrolera. Usunięty p. Urbański, pomocnik kustosza, jedyny dziś w Rapperswilu człowiek o fachowej wiedzy. Słowem — odprawiono nad opozycyą sąd polowy. Rządcy Rapperswilu umieją się mścić.

Ta rozprawa z opozycyą źle wróży o przyszłości zapowiedzianych reform. Niezbędna jest wytężona baczność ogółu. Niezbędne ciągłe interesowanie się Rapperswilem. Niezbędne również wzmożenie ofiarności publicznej na Rapperswil. Przez nią jedynie przestanie on być własnością grupy starych emigrantów, stanie się własnością narodową. W tym celu t. zw. opozycya stworzyła w ostatnim dniu posiedzeń Rady nowe Towarzystwo, którego akt fundacyi odczytano pod kolumną barską w dziedzińcu zamkowym.

Akt opiewa:

„Przyjaciele Muzeum rapperswilskiego, jego odrodzenia i rozwoju pragnący, zakładają niniejszym aktem Towarzystwo, którego celami będą: materyalne i moralne poparcie Muzeum narodowego polskiego w Rapperswilu dla utrzymania go na wysokości dzisiejszych wymagań kultury i wiedzy europejskiej; obrona Muzeum w jego całości bezpieczeństwa, jako instytucyi narodowej i do narodu całego należącej, zgodnie z aktem fundacyjnym Władysława hr. Platera i z działalnością Henryka Bukowskiego; nadanie Muzeum rapperswilskiemu charakteru, odpowiadającego intencyi założycielskiej i potrzebie ogólno-narodowej: Muzeum polskich walk o wolność!

Środkami działań Towarzystwa przyjaciół Muzeum rapperswilskiego będzie organ centralny z siedzibą w kraju i podkomitetami we wszystkich ogniskach kultury polskiej,

Rapperswil wedle intencyi jego przyjaciół stać się powinien nową polską „stacyą przed Europą“, reprezentantem nazewnątrz istoty narodowej niepodległej, miejscem świętem dążeń Polaka, przybytkiem godnym serca Kościuszki“.

Dr. M. K.

SPRAWA LEŚNIKÓW LWOWSKICH W PARLAMENCIE.

Znają czytelnicy „Życia“ z licznych notatek, z zamieszczonego w piśmie naszem memoryału uczniów Szkoły lasowej lwowskiej wstrząsającą tragedyę, rozgrywającą się po tiurmach Wołynia, Podola i Ukrainy, dziś już dobiegającą w ponurych, zabójczych murach kijowskiej Łukjanówki rozwiązania przed wojennym sądem. Przez zemstę prywatną powiatowego satrapy kilka osób — w ich liczbie trzej obywatele austryaccy, do więzienia wtrąceni; praca ich zawodowa jako leśników, ich wypracowania szkolne, zakładowi naukowemu przedstawiane, poczytane za robotę szpiegowską; w konsekwencyi zakład ten, będący pod opieką najwyższych władz krajowych, poczytany za centralne biuro szpiegowskie austryackie dla zbadania topograficznego „jugo-zapadnoj“ Rosyi; w dalszej konsekwencyi każdy uczeń, każdy absolwent, każdy profesor wyższej szkoły lasowej lwowskiej, tropiony, prześladowany, więziony jako szpieg. Zapewnienia władz szkolnych, władz krajowych, władz państwowych wzgardliwie zlekceważone; zniewaga, wyrządzona nietylko polskiej szkole i polskim władzom Galicyi, ale także monarchii.

Od pierwszej chwili domagało się „Życie“ jak najenergiczniejszej interwencyi u ministra spraw zagranicznych. Pierwszy obowiązek w tej mierze spoczywał na marszałku krajowym, jako odpowiedzialnym za

ten zakład naukowy i jego czynności. W drugim rzędzie obowiązek ten spoczywał na parlamentarnej reprezentacyi polskiej. Interweniowano i bez najmniejszego skutku. Ministeryum spraw zagranicznych, tak dzielnie umiejące bronić obcych poddanych, zbuntowanych Malissorów, przed zemstą władzy rządowej obcego państwa, nie dało najmniejszych dowodów energii, gdy bronić przyszło własnych obywateli i własnej instytucyi przed bezprawiem carskiem. Zadowolono się odpowiedzią władz rosyjskich, że sprawa jest sądownie traktowaną. Bo też i nacisk na Wiedeń ze strony polskiej dziwnie był mdły, jak sennem znowu i mdłem było zachowanie się opinii publicznej. Z oburzeniem stwierdzić wypada, że niektóre dzienniki nie zamieszczały nawet informacyi, dostarczanych przez uczniów Szkoły, że młodzież akademicka, tak zawsze do wiecowania skora, nie uznała za właściwe zwołać wiecu akademickiego. Co do tak zwanych powołanych czynników, to nie wiemy, jakie kroki czynił we Wiedniu p. marszałek Badeni; czy, jakby tego spodziewać się wypadało, oświadczył, iż on poczuwa się do odpowiedzialności za los Szkoły i jej uczniów, jeżeli zaś Szkoła i jej uczniowie nie będą wzięci w należytą obronę, on postrada moralne prawo do reprezentowania kraju i laskę złoży... Tego nie wiemy. Wiemy natomiast, jak bronił sprawy biednych, aresztowanych współobywateli były poseł Tomaszewski, któremu Szkoła i uczniowie jej poruczyli interwencyę w parlamencie wiedeńskim. Oto przekonał się poprostu, że „ministeryum spraw zewnętrznych wszystko uczyniło, co było w jego mocy", za co ministeryum temu wyraził w delegacyach (mowa z 24. lutego 1911 r.) — „najgłębsze uznanie i najgorętszą podziękę", zresztą konstatując zaraz obok, że „mimoto niewinni ludzie siedzą dalej w więzieniu, a uczeń Skowron trzymany jest w Żytomierzu ze zwykłymi złoczyńcami". A zatem albo przedwczesne było „najgłębsze uznanie i najgorętsza podzięka" posła Tomaszewskiego, bo ministeryum spraw zagranicznych nie uczyniło wszystkiego, „co było w jego mocy", albo w mocy tego ministeryum nie było spełnienie najprostszego i najświętszego obowiązku, a w takim razie ministeryum temu zamiast „uznania" i „podzięki" należała się odpowiedź jedyna: odmowa budżetu.

W pierwszej sesyi nowego parlamentu sprawa ta poruszona została przez posła dr. Aleksandra Lisiewicza, wydawcę naszego pisma. Najpierw na posiedzeniu Koła Polskiego, w formie interpelacyi do ministra Galicyi dr. Wacława Zaleskiego. Odpowiedź ministra uprzejma. ale ogólnikowa i nie dająca żadnych gwarancyi, nie zadowoliła posła Lisiewicza. Uzyskał od Koła pozwolenie na wniesienie interpelacyi. Wyczerpany pracą nadludzką, chory, opadając z sił, przezwyciężał nowy poseł lwowski fizyczną niemoc siłą woli, siłą poczucia świętej powinności obywatelskiej i patryotycznej: w gorączce pisał interpelacyę przez noc całą, w gorączce zbierał pod nią podpisy a wysiłek ten ostatni okupił obłożną chorobą. I przez to właśnie interpelacya ta, jedna z tysiąca podobnych, wnoszonych różnemi czasy w parlamencie, nosi specyalny charakter ofiarnego czynu.

Podpisali ją postępowcy — najbliżsi przyjaciele interpelanta; dalej wszyscy demokraci, liczne grono ludowców; z innych grup rzucają się w oczy podpisy dr. Kozłowskiego i dr. Jabłońskiego. Wniesiono ją na posiedzeniu z dnia 27. lipca 1911 r. Oto jej brzmienie:

Wyższa szkoła lasowa we Lwowie wysyła swoich wychowanków z trzeciego roku nauki podczas wakacyi na praktykę do rozmaitych gospodarstw leśnych w Galicyi a także do Królestwa Polskiego, na Wołyń i Podole, skąd wiele uczniów pochodzi i gdzie oni później posady znajdują.

W lipcu r. 1910 wysłano kilku uczniów na praktykę na Wołyń do dóbr Połonne hrabiego Karwickiego.

Pod kierownictwem fachowem pana Łękawskiego, nadleśniczego dóbr Połonne, uczniowie ci mieli wypracować dokładne plany lasów tych dóbr, przy czem z konieczności musiały być robione zdjęcia granic lasów, dróg leśnych, kultur leśnych i t. d. Uczniowie byli obowiązani składać co tydzień raporty dyrekcyi szkoły lasowej we Lwowie o stanie swych prac.

W jesieni 1910 r. otrzymano we Lwowie wiadomość, że ci uczniowie, między nimi poddany austryacki Stanisław Skowron, wraz z nadleśniczym Łękawskim, także austryackim poddanym, zostali uwięzieni pod zarzutem szpiegostwa i przeprowadzeni do więzienia w Żytomierzu.

Wiadomość ta rzeczywiście się potwierdziła. Jak się później dowiedziano, miał nadleśniczy Łękawski wypędzić z lasów Połonnego rotmistrza żandarmskiego z Kowla, który bezprawnie w Połonnem polował, czem ten obrażony, zrobił doniesienie, że zajęci w dobrach Połonne uczniowie szkoły lasowej we Lwowie robią topograficzne zdjęcia dla austryackiego sztabu generalnego, że to robota szpiegowska na wielką skalę, bo te zdjęcia mają miejsce corocznie w rozmaitych okolicach, przy czem dyrekcya szkoły lasowej we Lwowie odgrywa rolę przewodnika.

Nieszczęśliwi zostali uwięzieni z początkiem października 1910 r. Dyrekcya szkoły lasowej we Lwowie zwróciła się z prośbą o interwencyę do eksc. hr. Stanisława Badeniego, namiestnika Galicyi w listopadzie r. 1910.

Na podstawie tej relacyi i interpelacyi posłów Tomaszewskiego i Petelenza, wniesionej na posiedzeniu Delegacyi, miał rząd austryacki interweniować u rządu rosyjskiego w Petersburgu.

Ekscelencya pan minister spraw zewnętrznych przyrzekł na komisyjnych posiedzeniach Delegacyi podjąć z wielką gorliwością obronę niewinnych, to też spodziewano się prędkiego uwolnienia wymienionych osób.

Niestety! W marcu r. 1911 otrzymała dyrekcya szkoły lasowej z lwowskiego namiestnictwa urzędową wiadomość, że rzeczywiście uczeń szkoły lasowej Stanisław Skowron i nadleśniczy Józef Łękawski pod zarzutem szpiegostwa na rzecz austryackiej monarchii w Rosyi są uwięzieni i że w tej sprawie szpiegowskiej jest prowadzone śledztwo. Taki więc jest rezultat miesiącami trwającej dyplomatycznej interwencyi naszego rządu w Petersburgu w interesie naszych poddanych, którzy od początku października 1910 r. niewinnie są uwięzieni.

Teraz przekonywamy się, że ta sprawa już od dłuższego czasu przybrała fatalny obrót.

Tak nazwana afera szpiegowska na Wołyniu na rzecz monarchii austryackiej była kąskiem nielada, kopalnią złota dla rozmaitych tamtejszych organów rządowych. Wskutek nowych oskarżeń, nastąpiły dalsze aresztowania uczniów lwowskiej szkoły lasowej, którzy jednak już nie są austryackimi poddanymi; świeżo zostali uwięzieni: generalny plenipotent dóbr ordynackich w Ołyce — za którego ofiarowywano napróżno kaucyę wysokości 200.000 rb. — i tamtejszy nadleśniczy pod tymsamym zarzutem szpiegostwa w lipcu tegoż roku

Słuchaczom szkoły lasowej we Lwowie, którzy są rosyjskimi poddanymi, powrót w strony rodzinne jest zamknięty, ponieważ władze rosyjskie uważają za pewnik, że dyrekcya lwowskiej szkoły lasowej tylko pod pozorem praktycznego wykształcenia wysyła swoich uczniów corocznie do Królestwa Polskiego, Podola i Wołynia, w rzeczywistości zaś ci uczniowie zbierają tam daty i robią zdjęcia dla austryackiego generalnego sztabu we Wiedniu. Z tego powodu cała ta niewinna sprawa została podniesioną do rozmiarów wielkiej afery szpiegowskiej, wszyscy uwięzieni zostali w lutym b. r. przeprowadzeni do Kijowa i oddani pod tamtejszy sąd wojenny.

Obrona uwięzionych (którą miał prowadzić w Kijowie adwokat lwowski na polecenie ekscelencyi marszałka hrabiego Badeniego) jest bardzo trudną, specyalnie dla naszych poddanych, którzy nie posiadają języka rosyjskiego, a tamtejszy sąd wojskowy nie dopuszcza tłómacza. Niewinni siedzą od 10 miesięcy w ostrem więzieniu,

szeroko znanem jako złe, gdzie tracą zdrowie, a że dostatecznych dowodów niema, śledztwo może być prowadzone bez końca i latami potrwać.

W złym wypadku grozi nieszczęśliwym według rosyjskiego prawa karnego dwanaście lat katorgi, to znaczy ciężkich robót w kopalniach wschodniej i północnej Syberyi.

Jest to jednak wielkie uchybienie w międzynarodowych zwyczajach nowożytnego życia, że tutejszą znaną i pod opieką i kontrolą tutejszych władz istniejącą szkołę, jaką jest w rzeczywistości wyższa szkoła lasowa we Lwowie, w Rosyi uważają za instytucyę uprawiającą szpiegostwo w obcym kraju, za agencyę szpiegowską, nie uwzględniając wyjaśnień dyrekcyi tej szkoły, galicyjskiego Wydziału krajowego, dyskusyi w Delegacyach monarchii i wyjaśnień udzielonych przez c. i k. ministeryum spraw zewnętrznych.

Ponieważ ci zupełnie niewinni obywatele już 10 miesięcy w więzieniu kijowskiem siedzą i w swej egzystencyi są zagrożeni a w interesie powagi austryackiego rządu leży dochodzenie tej sprawy z pełnym naciskiem i ochrona skuteczna niewinnych obywateli państwa — podpisani zapytują przeto pana prezydenta ministrów:

1) Czy J. Ekscelencya jest skłonny poczynić kroki, ażeby c. i k. ministeryum spraw z granicznych z całym naciskiem dochodziło tej sprawy, wzięło w obronę austryackich obyw teli i austry c i zakład naukowy przed niesłychanem pogwałceniem ze strony wł dz ces rskich rosyjskich, oraz sprawiło niezwłoczne uwolnienie rzeczonych obywateli;

2) Czy J. Ekscelencya nie byłby skłonny jak najrychlej donieść wysokiej Izbie i podpisanym, co przedsięwzięto ze strony rządu w tym celu, ażeby wziąć w obronę praw zagrożonych obywateli państwa i powagę mon rchii?

Odpowiedź ministra nastąpi niezawodnie z początkiem najbliższej sesyi. Znamy już z góry jej brzmienie: ambasador austryacko-węgierski uzyskał zapewnienie, że sprawa w najkrótszym czasie załatwiona będzie. Wiemy również, że istotnie i bez względu na tę interwencyę, sprawa załatwiona będzie. Śledztwo bowiem skończone, a „wojennyj prokuror“ wygotowuje akt oskarżenia. Sądzić ma naszych współobywateli najdowolniejszy i najokrutniejszy w wyrokach sąd świata: sąd generałów rosyjskich.

Za niezbędne uważamy poruszenie opinii w tej sprawie przez prasę i przez wiece i skłonienie Koła Polskiego, by zażądało w parlamencie dyskusyi nad odpowiedzią ministra, podobnie jak uczynią to niewątpliwie polscy posłowie socyalistyczni. Żądać trzeba z całą bezwzględnością, by nie dopuszczono do traktowania sprawy przez rosyjski sąd wojenny. Na harmonii z Rosyą zgoła zależeć nam nie powinno, a wiemy, że nawet Turcya, gdy energicznie przemawia, umie zmusić rząd rosyjski do rejterady.



EDAWRD HOSZOWSKI.

ZE SZTUKI.

WYSTAWA GRAFICZNA W ZAKOPANEM.

(LIPIEC 1911).

Wystawa graficzna w Zakopanem ma być wyrazem wzmagającego się u nas zainteresowania sztukami graficznemi. Niestety, można mówić naprawdę zaledwie o zainteresowaniu pewnych grup, dzięki którym wystawa przyszła do skutku. To też wystawa ta jest objawem pocieszającym, dotychczas bowiem nic nie uczyniono prawie dla rozbudzenia w społeczeństwie zamiłowania do sztuk graficznych. A jeśli każda sztuka rozwija się pomyślnie tylko wtedy, gdy może się oprzeć o szeroką podstawę zapotrzebowania, to sztuki graficzne bez tej podstawy tracą (z natury swej) nietylko możność, ale niemal racyę rozwoju.

A drzemie u nas stara tradycya tych sztuk. Drzemie w starych dworkach, rozrzuconych na obszarach dawnej Rzeczypospolitej, gdzie można oglądać po ciemnych kątach nad empirowemi kanapami pożółkłe sztychy: fragmenty bitew, portrety dziadów i sławnych w kraju ludzi. Trzeba tę tradycyę rozbudzić.

Oby nie były bezowocne usiłowania niewielkiej grupy ludzi, którzy urządzili wystawę.

Wystawa, acz nie kompletna, bo brak w niej reprezentacyi wielu naszych grafików, daje jednak możność pewnej oryentacyi o stanie tej sztuki u nas. Przejdźmy przez salę i zatrzymajmy się przy wybitniejszych.

Skoczylas (godło „Kreska“) odbył w niedługim czasie ogromną ewolucyę w swej produkcyi graficznej. Można ją obserwować jeszcze na dziełach wystawionych na omawianej wystawie. Jakże daleka droga od „Głowy starca“ lub „Małego rynku“ do prawdziwie ciekawego sposobu widzenia sceny rodzajowej „Na targu“. Tam mozolne jeszcze szukanie plastyki zapomocą twardych kresek, kłócących się niekiedy ze sobą, co daje całość martwą i suchą — tu subtelne operowanie konturem, rozłożenie świateł żywe: widzimy tu barwną grupę, choć barw niema, czujemy je tylko, suggeruje nam je samo rozłożenie plam świetlnych.

A miejsca pośrednie zajmą: „Stary góral“, „Klasztor Norbertanek“, „Stary kościół w Zakopanem“.

Prawdziwie nowe spojrzenie na pejzaż polski wnoszą do sztuki graficznej Zofia Stankiewicz i Rubczak.

Jest u nich głębokie zrozumienie sensu konturu w pejzażu. Niema się tu do czynienia z notowaniem spostrzeżeń, z mniej, lub więcej gorliwą inwentaryzacyą — ale jest tam zapatrzenie się we wspomnienie, w rzecz nie tyle wchłoniętą — co raczej stworzoną w sobie. Tu podstawą jest nie jednostkowe wrażenie, ale szereg przeżyć nastrojowo pokrewnych. „Brzozy w deszczu" lub „Strumyk" Rubczaka, czy „Mój dom rodzinny" lub „Cisza" Stankiewiczówny nie mają w sobie nic z przypadkowości — jak nie jest przypadkową żadna myśl i dlatego tchną absolutną nowością. (Bo przypadkowość jest wrogiem nowości, jako że znaczy tyle, co pospolitość).

Ten brak przypadkowości z jednej strony, a z drugiej nowość w spojrzeniu na świat, łączy się ściśle z prostotą środków. Wyobraźni artysty nie narzuca się ten i ów szczegół, który byłby tem, czem zbyteczna scena w dramacie — mamy tu do czynienia ze świadomem wyrażaniem określonych wartości.

Oryginalną i jednolitą jest produkcya Jabłczyńskiego (godła: „Ballady Chopina", „Inowłódź nad Pilicą" i „Wieża").

Wmyśla się on przeważnie w ponure, tragiczne nastroje chmurnych nocy, rozświetlanych pożarem, lub upiorami białych ścian, w nastroje przykościelne, operuje śmiałą kreską — prawie zawsze pomyślnie.

Nie brak tu także ustawicznie eksperymentującego Gwozdeckiego. „Głowa przy lampie". Przypuszczam, że autor musi nawet sam sobie ustawicznie perswadować, że tak rzeczywiście widzi, jak rysuje — i może perswaduje ze skutkiem; my jednak patrząc nie zdołaliśmy mimo najlepszych chęci uledz suggestyi artysty. Z równym rezultatem można rysować np. „głowę widzianą ze zmrużonem okiem" itp.

Trudno nakoniec nie wspomnieć o Janie Skodnickim; dużo charakteru w jego rodzajowych obrazkach — ale (z wyjątkiem „Zamiataczy ulicznych", znakomitych w nastroju), brak świeżości motywów.

Godzi się wspomnieć, że wystawa była połączona z konkursem im. Henryka Grohmana. Wynik konkursu następujący: I. nagroda Skoczylasa „Stary góral". II. nagr. Rubczaka „Ogrojec przy kościele św. Barbary". III. nagr. Zofii Stankiewicz „Mój dom rodzinny. IV. nagr. Jabłczyńskiego „Pożar".



SPRAWOZDANIA.

(K-i) Romuald Minkiewicz: Młodzież a Uniwersytet (z powodu zajść krakowskich). Kraków 1911. Wydawnictwo „Życie. 51 str.

Wypadki zimowe b. r. na krakowskim uniwersytecie były naturalnym protestem młodzieży przeciw coraz większym zakusom sfer klerykalnych do opanowania dziedzin życia publicznego. Kler kilkakrotnie w ostatnich czasach młodzież prowokował, stając w poprzek jej najszczerszym zamierzeniom. Prowokacyą wszak było zamknięcie wrót panteonu polskiego, przed zwłokami Słowackiego. Dla Konopnickiej też nie znalazł miejsca kler na Skałce. Młodzież oba ciosy wytrzymała, lecz kiedy kler szykował się do wdarcia w mury wszechnicy i stworzenia tam swej reduty w postaci katedry „socyologii chrześciańskiej", wówczas młodzież wielkim głosem zaprotestowała przeciw rozszerzaniu zakresu wydziału teologicznego na nienależące doń przedmioty, zażądała kreowania socyologii na wydziale filozoficznym, gdzie nauka posiada gwarancyę niezależności od względów obcych nauce, wreszcie zażądała eliminacyi wydziału teologicznego z uniwersytetu, t. j. sekularyzacyi wszechnicy Jagiellońskiej.

Zdawaćby się jednak mogło, że o ile wybuch protestu młodzieży był faktem umotywowanym warunkami, które go wywołały, o tyle żądanie sekularyzacyi uniwersytetu, zerwania stosunków jego z kościołem i wpływami katolickimi było godzeniem w pasmo tradycyi historycznej wszechnicy Jagiellońskiej, oraz całego narodu, tradycyi, które wykazują ścisły związek między kościołem rzymsko-katolickim a rozwojem kultury narodowej, zwłaszcza nauki uniwersyteckiej. Owóż wątpliwości tego rodzaju rozwiewają w puch historyczne dane, odnoszące się do dziejów uniwersytetu. Prace Piotra Chmielowskiego, odnoszące się do dziejów uniwersytetu Jagiellońskiego, oparte na sumiennem badaniu, wykazują dwa momenty w dziejach akademii krakowskiej, odznaczające się żywym i poważnym plonem pracy naukowej. Pierwszy moment, to koniec XV. i początek XVI. w., czasy Kopernika, humanizmu i walk religijnych, drugi, to konie w. XVIII., czasy zreformowania akademii przez H. Kołłątaja, postępowca skrajnego, rewolucyonisty, klubisty i jakobina.. Pozostały okres historyi uniwersytetu to czasy wszechpotęgi wydziału teologicznego, upadku życia naukowego akademii, gorszących walk wewnętrznych grona nauczycielskiego. Jak widzimy więc między nauką na uniwersytecie, a sprawami kościoła rzymsko-katolickiego istniał rozdźwięk tak wielki, że właśnie okresy osłabienia kościoła, walk religijnych, okresy wolnej myśli i oświecenia, to czasy rozwoju, nauki i kultury narodowej. „I dlatego żądanie sekularyzacyi uniwersytetu, wyzwolenie go zupełnie od wpływu sfer klerykalnych i zakusów kościelnych, nie tylko nagannem nie jest i antynarodowem, ale winno być poczytane młodzieży krakowskiej za czyn narodowy, za obronę kultury polskiej i wielkich kart tradycyi uniwersyteckiej" (str. 22).

Zarzuty wytaczane przeciw młodzieży krakowskiej, że chciała ona się mięszać do rzeczy, które jej nie powinny obchodzić, do ustanawiania, czy obsady katedr profesorskich, również nie wytrzymują najmniejszej krytyki. Bowiem młodzież akademicka nie jest młodzieżą szkół średnich. Ma ona bezwarunkowo prawo wypowiadania i manifestowania swych opinii w sprawach potrzeb naukowych. „Zabawnem byłoby poprostu kwestyonowanie prawa studentów uniwersytetu do pewnego bodaj głosu w sprawach życia uniwersyteckiego" (24 str.). Zresztą owe wypowiadanie opinii młodzieży nie miałoby miejsca, gdyby nie inne kroki ciała profesorskiego, które nie znalazło katedry dla Ludwika Gumplowicza, nie chciało zaradzić najżywszej potrzebie naukowej młodzieży — założenia katedry socyologii na wydziale filozoficznym. Nie można więc winić młodzieży, iż się upomniała o spełnienie przez grono profesorskie tego, co winno było ono współczesnym wymogom wiedzy.

Wreszcie stosunek senatu do młodzieży. Senat ukarał młodzież za wypowiedzenie swej opinii szeregiem relegacyi, motywując je tem, że ukarani okazali się niego-

dnymi obywatelstwa akademickiego. Lecz właściwie na czem się zasadzają owe prawa obywatelskie, nadane akademikom krakowskim aktem erekcyjnym z 12. maja 1364 r. przez Kazimierza Wielkiego, kiedy to młodzież wybierała rektora akademii z pośród siebie, na katedry zaś profesorskie wybierali profesorów studenci danego wydziału? Nie można żądać poszanowania ustaw i zarządów od tych, którzy w ich stanowieniu żadnego udziału nie mają. Błędy i niewłaściwości były ze strony młodzieży, lecz można je wszak usprawiedliwić nastrojem, w jakim się młodzież znajdowała, ale nie można usprawiedliwić błędów i niewłaściwości, jakich się względem młodzieży dopuścił senat oraz grono profesorskie uniwersytetu krakowskiego.

— — — — — — —

Z rozmysłu omówiliśmy obszernie cenną broszurę obyw. R. Minkiewicza. Jest ono poważnym wyrazem opinii postępowej naszego społeczeństwa w sprawie zajść krakowskich, podczas gdy opinia zachowawcza zdobyła się w tej sprawie jedynie na broszurę, zawierającą mowy wygłoszone na „wiecu obywatelskim“ z dnia 12. lutego b. r. w sprawie zajść na uniwersytecie krakowskim, będące jedynym jednym głosem potępienia dla młodzieży idącej na pasku socyalistów i masonów...

Romuald Minkiewicz, znający zarówno sprawy i interesy grona profesorskiego z czasów swej nauczycielskiej działalności na uniwersytetach rosyjskich, jako też sprawy i interesy młodzieży, którą zna i rozumie, jest w istocie najbardziej powołany do należytego oświetlenia sprawy zajść krakowskich i wypowiadania o nich poważnej opinii. Autor jednak nie ogranicza się na wykazaniu przyczyn „wystarczających“ — jak je nazywa — zajść krakowskich, lecz umie się również zdobyć na projekt reform, mających na przyszłość uregulować stosunek młodzieży do profesorów, uczynić z uniwersytetu wszechnicę umiejętności zaspokajającą zarówno potrzeby naukowe młodzieży jak i darzącą ją pełnią obywatelskich swobód. Autor domaga się w myśl żądań młodzieży kreowania katedry socyologii, dalej zaś proponuje reformę zarządów uniwersyteckich w duchu dekretu erekcyjnego z dnia 12. maja 1364. Na czele wydziału proponuje Zarząd wydziałowy, w skład którego wchodziliby dziekan, prodziekan, wybierani przez profesorów, wicedziekan, wybierany przez młodszy personal naukowy (docenci, asystenci itd.), wreszcie starosta i prostarosta wybierani przez młodzież. Dziekanaty wszystkich wydziałów tworzą senat uniwersytecki, który obiera z pośród profesorów nie należących do dziekanatów rektora i prorektora. Ten zarząd uniwersytetu rozstrzygałby wszystkie sprawy, tyczące się całego uniwersytetu, gdy zarządy wydziałowe (dziekanaty) zarządzałyby sprawami poszczególnych wydziałów. Powyższe instytucye byłyby też sądami: dziekanat w zatargach wewnątrz wydziału z apelacyą do zarządu uniwersytetu, który byłby instancyą bezapelacyjnie wyrokującą. Ponadto proponuje autor instytucye takie, jak ogólne rady profesorskie, walne zgromadzenie uczniów, zgromadzenia asystentów i docentów, oraz podobne zgromadzenia wydziałowe.

Powyższe projekty obyw. R. Minkiewicza zasługują niewątpliwie na uznanie, staną się one też niewątpliwie w niedalekiej przyszłości postulatami polskiej akademickiej młodzieży postępowej, dążącej do uzdrowienia stosunków na uniwersytetach polskich przez wprowadzenie reform, zmierzających do zaspokojenia potrzeb naukowych młodzieży, oraz zapewniających jej swobodę i prawa rzeczywistego obywatela akademickiego.

(Ek) Maryan Kukiel: Wezwanie Austryi na tron polski w r. 1794. (Bibl. warszawska, 1911, t. II., i odb. str. 13).

Do kwestyi powyższej, ciągle jeszcze ostrożnie i najsprzeczniej wentylowanej w historyografii naszej, na skutek braku odpowiedniego materyału źródłowego i szczegółowszych badań — przybywa w szkicu p. Kukiela walny przyczynek dowodowy w postaci memoryału Waleryana Dzieduszyckiego. Pismo to, wysłane do Wiednia na ręce J. M. Ossolińskiego i przez tegoż odpowiednio przerobione, wręczono w październiku 1794 r. baronowi Thugutowi, ówczesnemu kierownikowi spraw zagranicznych austryackich. Bruliony i kopie znalazł autor w tajnych aktach prezydyalnych archiwum namiestnikowskiego we Lwowie.

Dzieduszycki, wychodząc z tak popularnej w emigracyi zasady, „iż odbudowanie Polski nie inaczej może nastąpić, jeno w związku z interesami domu austryackiego“, którą, jako system polityczny, miał na skutek jego przełożeń przyjąć Kościuszko, zmierzał do pozyskania sympatyi Austryi dla powstania 1794 r. W tym też celu wykazuje, iż Austrya jest w danych warunkach igraszką w ręku sprzymierzonych, głównie Prus i Rosyi. Oba te państwa, chcąc odstraszyć monarchię naddunajską od wmięszania się w sprawy polskie, stwarzają legendę o rzekomym jakobiniźmie, grasującym wśród Polaków. Osobny, bardzo dla autora memoryału charakterystyczny ustęp wykazuje nicość tej legendy. Ponieważ jednak, mimo wszystko, wbrew zasadzie słuszności, głoszonej w Wiedniu — w imię politycznej racyi stanu Austrya bierze udział w rozbiorach — przeto wykazuje Dzieduszycki, że Austrya nie tylko nic nie zyskuje, ale wprost przeciwnie przyczynia się do stworzenia potęgi rosyjskiej, niebezpiecznej dla siebie, z uwagi na lokalne interesy zaboru pol. i szersze interesy państwowe na Wschodzie. Prusak nie mniej groźnym będzie przeciwnikiem.

Aby tego uniknąć, Austrya powinna zaprzestać wojny na Zachodzie, brzemię walki przesunąć na Prusy, podać rękę Polsce, co nie bez wpływu zostanie na stanowisko Szwecyi i Turcyi. Po zawarciu pokoju należy pokusić się o ugruntowanie swego wpływu w Polsce w pierwszym rzędzie przez objęcie sukcesyi tronu po skiego. Sprecyzowało ten punkt dyplomatycznie wyszkolone pióro Ossolińskiego, radząc ustąpić Niderlandy Francuzom pod warunkiem odszkodowania się koroną polską.

Memoryał, wręczony w Wiedniu już po Maciejowicach, z natury rzeczy nie wziął żadnego skutku — ale jako dokument polskiej myśli politycznej, w której uczestniczył nadto Kościuszko, jest cennym nabytkiem dla naszej nauki historycznej.

(ad pł.) Juliusz Kaden: Niezguła, powieść. Lwów 1911. Nakł. Księg. Polsk. — Warszawa E. Wende i Sp.

W prawdziwej powodzi nowych publikacyi powieściowych, z pomiędzy których tak nikła liczba zasługuje na baczniejsze spojrzenie, jest „Niezguła“ Kadena bez wątpienia zjawiskiem domagającem się sądu. Wśród inteligentnej publiczności czytającej najsprzeczniejsze wywołuje zdania, z najróżnorodniejszych każe do siebie zbliżać się stanowisk: wywodząc się, jako zjawisko artystyczne, ze stylu powieści Żeromskiego, opierając się na budowie etycznej spuścizny Brzozowskiego, rozwiązując zagadnienia społeczno - narodowe na tle publicystyki w sprawie stosunku politycznego i kulturalnego Polski do Rosyi, poruszając wreszcie sprawy na tle modnego dziś w Europie zrębu problemów pedagogiczno pedologicznych.

Nie mniej jednak jest „Niezguła“ zjawiskiem artystycznem o swoistej fizyognomii, jest zagadnieniem życia określonej indywidualności, Józefa Dema: w dyalektyce zaś rozwoju i stanu jego psychy powyższe problematy są naprowadzone.

Dem — „niezguła“ przedstawia się nam jako człowiek półświadomym instynktem wyczuwający tęsknotę za szczerem, świadomie kulturę stwarzającem życiem, szukający w chwilach podniecenia bezwładnej psychyki sposobności i dróg do walki o takie samowiedne życie. Każde zerwanie się do walki, czy to w gimnazyum, kiedy Dem policzkuje profesora, czy później w Rosyi, gdy szuka dostępu do tajnych stowarzyszeń, nacechowane jest nieporadnością i naiwnością bezgraniczną i miast wyzwolenia coraz bardziej rzuca go na poniewierkę niezależnych od niego, zdeterminowanych wypadków. Igraszką losu jest Dem przez całe swoje życie, gdy nie wie czy dać się temu losowi unosić do przystani codziennego dobrobytu, czy walczyć z nim o inne wartość, mające życie, ofiarą tego losu staje się wreszcie w chwili śmierci.

Dyalektyka, uzasadniająca ten stan rzeczy, zaczyna się odrazu na pierwszych stronicach książki, gdy poznajemy dzieciństwo bohatera. Samodzielna oryentacya dziecka ulega tu gwałtowi ze strony ustalonych szablonów wychowania, które narzucają mu niezrozumiałe swe szablonowe formy. Autor pada tu ofiarą modnych hasełek „wieku dziecka“; „mądrość dziecka“, która w tak smutny sposób wynaturza talent Janusza Korczaka, oglądana filisterskiem spojrzeniem młodych małżonków, wypatrujących genialnosć swego pierworodnego, każe autorowi rozczulać się nad bezowocnością dla przyszłego życia dziecięcych wyobrażeń i zagadnień, rzekomo drobiazgowo, w rezultacie zaś pod względem artystycznym nieszczerze i sztucznie przedstawionych. Łucyan Rydel zmęczony skomplikowanemi budowami nowoczesnej kultury uczuciowej uciekł przed niemi do rzekomej prostoty i szczerości psychiki Hanuśki czy Maryśki, — pajdomani XX

wieku w ucieczce przed gordyjskim węzłem współczesnych problemów społeczno-etycznych snują bajeczną legendę o dziecięcej mądrości, w jej skrzywieniu dopatrując się przyczyny wszelakiego zła. A dzieci jak dawniej tak i teraz są głupie i skazane na niedołężne (dla rodziców tak kochane!) odruchowe domacywanie się tych oryentacyi, po których zdobyciu zaczyna się dopiero właściwe życie psychiczne, od wszelkich uroszczeń pedagogicznych bardziej niż się sądzi niezależnie.

Drugim widocznym splotem dyalektyki powieściowej to oderwanie bohatera od gruntu rodzinnego i rzucenie go na obcy kulturalnie grunt rosyjski; zagadnienie znane w literaturze polskiej od czasów „Płomieni“ Brzozowskiego, spopularyzowane z innej strony przez dyskusye publicystyczne na temat „organicznego wcielenia“, wychowania młodzieży w Rosyi i t. d. Właściwie jednak o tem, że budowa uzasadniająca przejścia psychiczne i życiowe Dema idzie w tym kierunku, dowiadujemy się wyłącznie niemal z wyznań autora gdy mówi o tem w refleksyjnych dumaniach Dema pod koniec powieści.

Tak samo bowiem i w kraju mogli go byli „wygryść“ z posady, tak samo i w kraju mogli go nie dopuścić do kontaktu z tajnem życiem społecznem, do którego w tak kapitalnie nieporadny sposób starał się zbliżyć, że każdy konspirator musiał go wziąć za „prowoka“, tak samo i w kraju rozwiane być mogło jedyne jego realniejsze marzenie o czynnem życiu instruktora gimnazyalnego, tak samo wreszcie od stosunków narodowo-społecznych niezależną była fatalna miłość do nierządnej dziewki. Nie środowisko i tło społeczne, lecz „niezgulstwo“ Dema stoi zawsze w jądrze sprawy, „niezgulstwo“ wyglądające zatem jako „wrodzone“, czyli nieuzasadnione, więc zgoła nieinteresujące.

Skutkiem takiej budowy psychologiczna konstrukcya postaci odsłania często luki, które wypełnia się pomysłami sztucznemi i nieszczeremi, lub przeskakuje się retoryką. Stany neurasteniczne, jak owo wnioskowanie w pociągu z zaaferowanych gestów podróżnych o poważnych zamiarach samego Dema, bardzo udatne.

Ustępy liryczne (obie choroby Dema), naszkicowanie niektórych postaci (Klaudya) bardzo piękne i pisane niepospolicie. Język znamionuje silną wyobraźnię obok wybitnych wpływów Żeromskiego.



SILVA RERUM.

KOMUNIKAT TEATRALNY. Dyrekcya teatru miejskiego w dorocznym swym komunikacie zapowiedziała ogromnie wiele, jeśli chodzi o krótką perspektywę jednego sezonu. Przypomnijmy sobie jednak znamienite pod względem obietnic interwiewy dyr. Hellera, z których przecież nie wiele się zrealizowało. Wogóle zasadnicza pewność siebie na początku sezonu byłaby dla publiczności czemś radosnem, gdyby nie chroniczny a jaskrawo widoczny katzenjammer przy końcu, na który choruje dyrekcya a z nią i publiczność od niejednego już roku.

ZJAZD PODHALAŃSKI. W czci dla K. Tetmajera, autora „Na skalnem Podhalu“, urządzono w Zakopanem ważny i pouczający zjazd, na którym obszernie omawiano kulturalny dorobek ruchu podhalańskiego. Na zjeździe, ze względu zapewne na Tetmajera, uwzględniono raczej literacką stronę góralszczyzny, co wpłynęło na jednostronność przedstawionych referatów. W każdym razie o ile chodziło o zadokumentowanie żywotności i ogólnego znaczenia ruchu, zjazdy takie mają doniosłą wartość. Ten pierwszy powinien był zawrzeć w sobie także rekapitulacyę tego, czego dotąd na tem polu dokonano. Zapowiedziany „Słownik gwary podhalańskiej“ prof. J. Kantora odpowie gorąco odczuwanej potrzebie.

(Mi.) CENNE WYZNANIE. W nr. 27-8 (6. lipca) wysoko inspirowanego organu wojskowości austryackiej „Danzer's Armeezeitung“ znachodzimy cenny i charakterystyczny dla pewnych „wysokich“ sfer austryackich artykuł, odnoszący się do powieszenia bez postępowania sądowego kilkunastu agitatorów socyalistycznych, między innymi najwybitniejszego poety japońskiego Kotoku. Ocena tego faktu ze strony półurzędowego organu naszej monarchii zasługuje na przytoczenie:

„Słaby i bezcelowy sposób postępowania państw europejskich (Die schwächliche und erfolglose europeische Manier) pokazał kierownikom ich państwa (t. j. Japonii) jak działać nie mają. Nie pozwalają szkodnikom na zdrowem ciele swobodnie wyrastać i skutecznie ich tępią. P r a w o i k o n s t y t u c y a s ł u ż ą w Japonii dobru narodu, a n i e d l a o c h r o n y l u d z i, p o d k o p u j ą c y c h p a ń s t w o.*) „Tajo“ lamentuje (jammert), że bezwzględne ściganie socyalistów zamieni ich w anarchistów. Tem lepiej! z tem czystszem sumieniem b ę d z i e i c h m o ż n a p o w i e s i ć“.

Artykuł kończy się życzeniem „najgorętszem“, aby rząd japoński dalej tą drogą postępywał dla dania koniecznego (notwendig) przykładu dla innych ras, których zniewieścienie pod naciskiem nadkultury stale postępuje. Artykuł ten czujemy się w obowiązku podać do wiadomości czytelników, tak ze względu na oryginalność podanego sposobu rozwiązania kwestyi społecznej, jak i ze względu na c h a r a k t e r p i s m a, w którem został pomieszczony. Od wszelkiej oceny wstrzymujemy się dla łatwo zrozumiałych powodów. Pisma postępowe i demokratyczne prosimy o przedruk.

BURZĘ W PRASIE NIEMIECKIEJ wywołała w ostatnim czasie sprawa suspendowanego przez „Spruchkollegium“ ewangielickiego kościoła pastora Jatho. Jest to pierwsza sprawa rozstrzygnięta przez tę instytucyę, utworzoną w r. 1910 celem strzeżenia prawowierności protestanckiej, coś jakby protestancki sąd inkwizycyjny, sprzeczność w samem pojęciu, kamieniem węgielnym protestantyzmu jest bowiem wolne badanie, a protestantyzm nie zna ani nieomylności, ani poświęconych kapłanów. Ustawodawcom, t. j. sejmowi pruskiemu, chodziło o powstrzymanie postępującego w protestantyzmie rozkładu podstaw wiary chrześcijańskiej. Siłą katolicyzmu jest jego dogmatyczność, uniezależnienie wiary od badań naukowych. Brak tej podstawy spowodował, że w najoświeceńszej części kościoła ewangielickiego wytworzyły się zupełnie niechrześcijańskie kierunki.

Świecznik protestanckich teologów Harnak nie podtrzymuje boskości Chrystusa nawet w swoich popular-

*) Podkreślenie nasze.

nych pismach. Schweitzer uważa Chrystusa za marzyciela, który odnosił proroctwa do siebie i usiłował sprowadzić królestwo boże na ziemię drogą gwałtowną. Zmarły Wrede dowodził, że w ewangieliach niema żadnego prawie pewnego faktu. Dodać należy, że wymienieni pastorowie to najwybitniejsze siły teologiczne niemieckie. Niema wogóle teologów nowoczesnego kierunku, którzyby uznawali objawienie biblii. Profesorowie teologii badają na starym testamencie rozwój pojęcia boga i zależność pojęć izraelickich od religii orientalnych. Piekła, cudów i t. d. nie uznaje nawet mnóstwo ortodoksyjnych pastorów. W Görlitz zaprzeczono z ambony boskości Chrystusa, a Kalthoff w Berlinie nie podtrzymuje nawet faktu jego istnienia.

Cóż w takich warunkach jest prawowiernem wyznaniem? Nad tem chyba nie zastanawiało się kollegium, które potępiło Jathona za panteistyczne ujęcie bóstwa, odrzucenie modlitwy i życia pozagrobowego. Usunięcie popularnego kaznodziei wywołało w Niemczech nieoczekiwaną wrzawę. Liberalna prasa wystąpiła w tej sprawie tak gwałtownie, że gdyby to miało miejsce z panującym kościołem w Austryi, redaktorzy ściągnęliby na siebie długie kary więzienne. Spruchkollegium stało się figurą comique pism satyrycznych, a drobne składki, urządzone na rzecz suspendowanego, dały w kilka dni 70.000 marek. Sprawa przybrała jednak równocześnie bardziej zasadniczy charakter. Sfery liberalne nie kwestyonują prawa oficyalnego kościoła usuwania innowierczych członków, żądają jednak, aby poglądy religijne nie przynosiły osobnikowi szkody, jak się ma sprawa z Jathon'em i coraz donioślej rozbrzmiewa w Niemczech żądanie pojęcia za przykładem sąsiadki z za Wogezów: rozdziału kościoła od państwa.

(s) PRZEWROTY SPOŁECZNE W ANGLII. Zaledwie społeczeństwo angielskie szczęśliwie przeżyło trudne przesilenie polityczne, zakończone przegraną Izby lordów, bezpośrednio potem stanęła Anglia wobec zjawiska społecznego, które swym ogromem i katastrofalnem znaczeniem wywołało ogólne przerażenie.

Stanęła praca robotników transportowych w portach, wstrzymano też ruch kolejowy, Anglia została odrazu odcięta od świata, właśni robotnicy urządzili blokadę, zamknęli przywóz towarów. Anglia bez dowozu może być wygłodzona i to straszne widmo chwilowo przesunęło się nad potężnym Albionem.

Cała polityka i wysiłki rządu angielskiego skierowane są ku zabezpieczeniu dowozu towarów, aby na wypadek wojny nieprzyjaciel nie był w stanie przeprowadzić ścisłej blokady. Ostatnie strejki przekonały rząd, że nie potrzeba wojny, aby Anglię pozbawić środków żywności. Pod wrażeniem tego strejku, minister handlu mówił w Izbie Gmin, że nie wyobraża sobie takiego zbiegu okoliczności, któreby groźniejszą od obecnej były katastrofą. W walce tej szło robotnikom o podwyższenie płac, o uznanie przez przedsiębiorców ich organizacyi zawodowej; wielu robotników strejkowało tylko dla poparcia w walce swych towarzyszy pracy.

Za interwencyą rządu strejki się skończyły bardzo szybko przeważnie wygraną robotników, a także rządu, bo uratował Anglię od strasznych następstw tej olbrzymiej walki. Strejki z każdym dniem się rozszerzały, a użycie wojska wprowadzało walczących w stan gorączkowy, powstawały bójki, nawet strzelaniny, sytuacya zaczynała być coraz cięższa i trudniejsza. Tylko rozumnej interwencyi zawdzięczać należy, że nie przyszło do katastrofy. Czy jednak na przyszłość potrafi Anglia się zabezpieczyć przeciwko takiej blokadzie, trudno przewidzieć. To zadanie będzie cięższe do uskutecznienia, niż ongi zwalczenie blokady kontynentalnej, bo solidarnej klasy robotniczej opancerzonymi kolosami morskimi nie będzie można pokonać.

Treść zeszytu XXXIV — XXXVI:

„Życie" wychodzi w każdą sobotę po południu.
Prenumerata wynosi:

	rocznie	półr.	kwart
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier	20 kor.	10 kor.	5 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego nru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy lub jego miejsce **na 2 i 3 str. okładki 30 hal., na 4 zewnętrznej 40 hal** Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada. Adres Redakcyi i Administracyi: Dąbrowskiego 2. Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 1 przed południem.

Sekretarz redakcyi przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki między g. 3—4.

Wydawcy: Dr. Aleksander Lisiewicz i inż. Hipolit Śliwiński.

Redaktor odpowiedzialny dr. Maryan Kukiel.

ROCZNIK XIII. LIPIEC-SIERPIEŃ 1911.

KRYTYKA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, NAUCE I SZTUCE.

PRENUMERATA WYNOSI:

	w Austryi		zagranicą		w Król. i Rosyi
rocznie	K 20	Mk. 20	fr. 24	Dol. 5	rb. 10
półrocznie	» 10	» 10	» 12	» 2·50	» 5
kwartalnie	» 5	» 5	» 6	» 1·50	» 2·50
Nr. pojed.	» 1·75	» 2			» 1

Adres Redakcyi i Administracyi: **Kraków, Stachowskiego 14.**